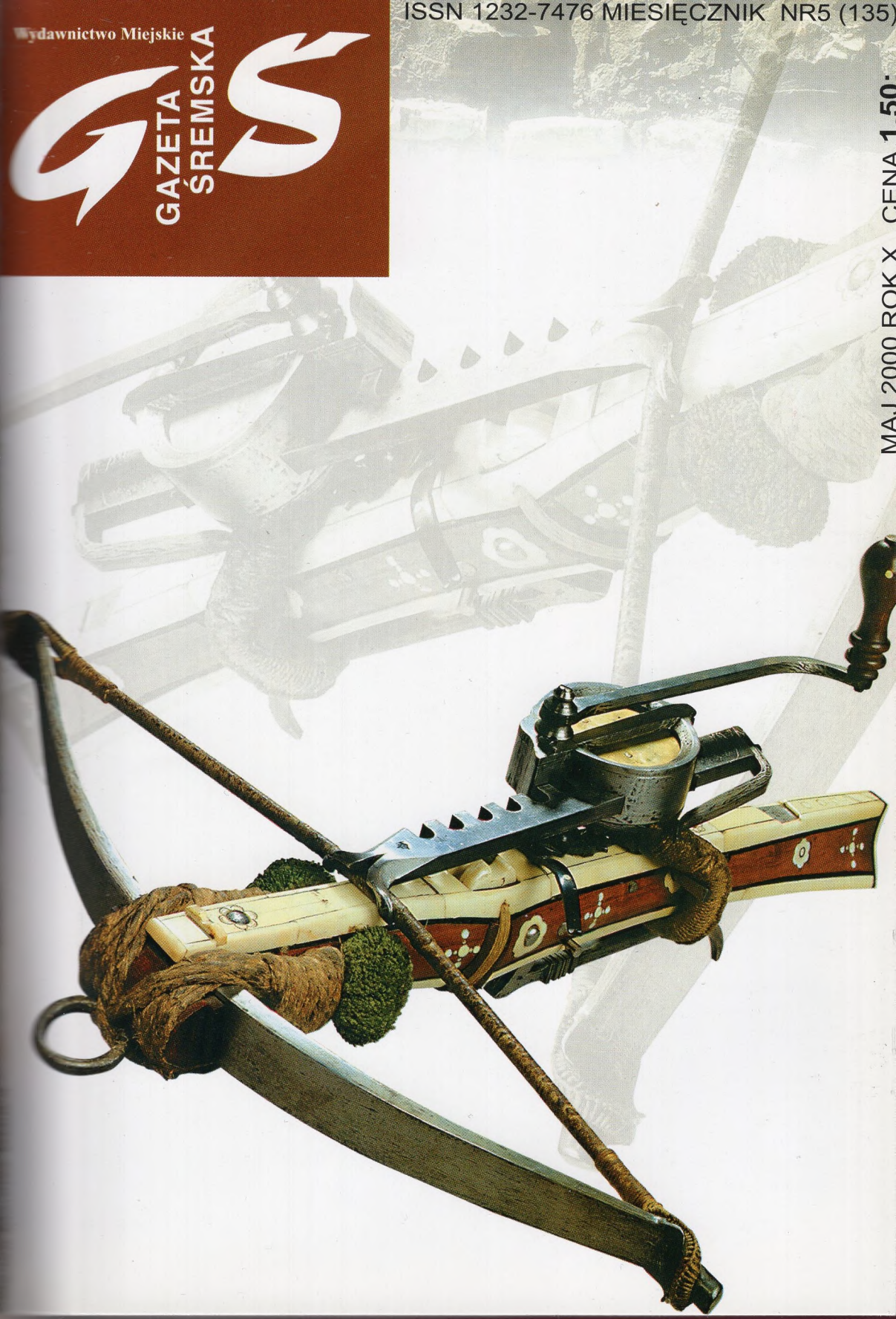
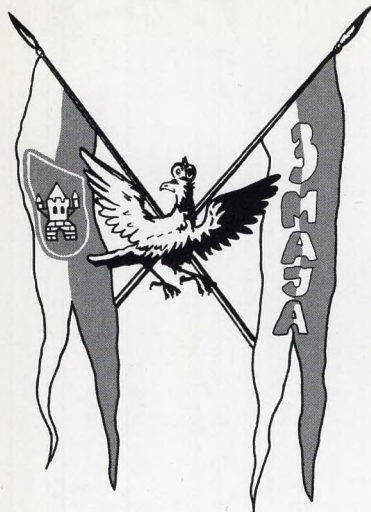






ŚWIĘTO NARODOWE

30 KWIEŚNIA 2000

- 10.15 - ROCZNICA KATYŃSKA Msza Świąta w Kościele p.w. Najświętszego Serca Jezusa
- 11.45 - Apel poległych Pomnik Ofiar Katyńskich - Park Odlewnika
- 12.30 - Spotkanie w Muzeum Śremskim montaż słowno-muzyczny „Chłopcóm żywym i bracióm poległym”
- 9.00 - VI Turniej piłki nożnej seniorów o puchary ŚOSiR i Klubu „Relax” - stadion sportowy ŚOSiR
- 11.00 - Memoriał Józefa Szczepaniaka w kręglarstwie parkietowym - kręgielnia Ogniska TKKF Sokół ul. Zamenhofs

1 MAJA 2000

- 10.00 - Otwarte mistrzostwa miast regionu śremskiego w kolarstwie górskim - stadion ŚOSiR
- 11.00 - Otwarty turystyczny rajd samochodowy - stadion ŚOSiR
- 11.00 - Festyn sportowo rekreacyjny „Majówka 2000” - Ostrowieczno
- 17.00 - Koncert orkiestry dętej Towarzystwa Muzycznego im. Mariana Zielińskiego - taras klubu „Relax”

2 MAJA 2000

- 10.00 - Turniej piłki siatkowej kobiet zespołów 3-osobowych - hala sportowa ŚOSiR ul. Staszica
- 10.00 - Turniej piłki nożnej dla dzieci szkół podstawowych - boisko ul. Zamenhofs
- 10.00 - Konkursy czytelnicze „Konstytucja 3 Maja w tradycji Wielkopolan XIX wieku” - Biblioteka Publiczna ul. Kilińskiego i Filia Jeziorany
- 11.00 - „Kolorowe miasto” - dzieci malują (boisko ul. Zamenhofs)

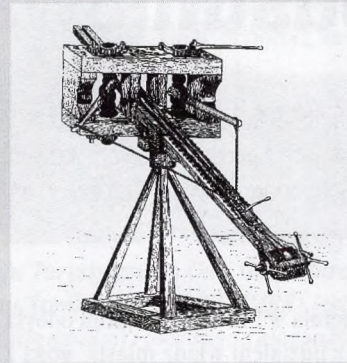
3 MAJA 2000

- 9.00 - Otwarty turniej tenisa stołowego - Szkoła Podstawowa Nr 5
- 10.00 - Turniej piłki nożnej szkół podstawowych powiatu śremskiego „Orliki 2000” - stadion ŚOSiR
- 10.00 - Otwarty turniej streetball (koszykówka 3-osobowa) - stadion ŚOSiR
- 11.00 - MSZA ŚWIĘTA ZA OJCZYZNĘ - KOŚCIÓŁ GARNIZONOWY
- 11.00 - 3 majowe strzelanie Bractwa Kurkowego - strzelnica w Zbrudzewie
- 13.00 - Familiada na kręgielni ul. Zamenhofs
- 16.00 - Mecz piłki nożnej juniorów Warta Śrem - Groclin Dyskobolia Grodzisk Wilk - stadion ŚOSiR
- 17.00 - Mistrzostwa Śremu w brydżu sportowym - hala ŚOSiR ul. Staszica
- 18.00 - UROCZYSTY KONCERT 3 MAJOWY - SALA WIDOWISKOWA ODLEWNI ŻELIWA „ŚREM” S.A., UL. STASZICA (zaproszenia do odbioru w Śremskim Ośrodku Kultury).

W numerze majowym:



Potęga drzew 12 Ślęza 30



Rowerem wokół Śremu 16 Wizyta w pracowni 32



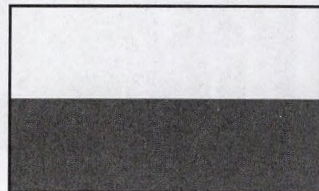
Strajk szkolny 24 Zafascynowany drewnem 36



UNIA GOSPODARCZA
MIAST REGIONU
ŚREMSKIEGO



WITAMY W UNII



Podsumowanie współpracy

W dniach 5-9 kwietnia trwała wizyta delegacji z Wielkiej Brytanii z dystryktu South Ribble. Przyjazd związany był z podsumowaniem wzajemnej współpracy w tworzeniu Strategii Rozwoju Turystycznego Unii Gospodarczej Miast Regionu Śremskiego.

7 kwietnia w Urzędzie Miejskim odbyła się konferencja z udziałem władz miasta, gości z Urzędu Rady South Ribble w osobach: Colin Monk – dyrektor, Graham Simpson – kierownik rozwoju ekonomicznego dystryktu South – Ribble, David Seager – kierownik ds. wypoczynku dystryktu South – Ribble, Jennifer Glough i tłumacza – Muri Platt a także Pawła Świaniewicza dyrektora Brytyjskiego Funduszu Know-How, przedstawiciela Ambasady Brytyjskiej – Małgorzaty Puczyłowskiej, dyrektora Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego – oraz osób uczestniczących w opracowywaniu projektu i prasy.

Podczas spotkania podsumowano dwuletnią współpracę na rzecz rozwoju turystyki dla naszego terenu.

Monika Bulińska reprezentująca Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości przedstawiła dotychczasowe osiągnięcia oraz cele, założenia projektu a także wynikające z niego korzyści.

Efektem dwuletniej współpracy jest dokument Strategia Rozwoju Turystycznego Unii Gospodarczej Miast Regionu Śremskiego. Prace nad dokumentacją rozpoczęto z inicjatywy Marii Stefaniak w październiku 1998 roku, zaraz po oficjalnej wizycie delegacji Unii w South Ribble.

Obie strony postawiły jako najważniejsze opracowanie dokumentu – strategii rozwoju turystyki na obszarze Unii.

Pomoc pracowników dystryktu była niezbędna do przeprowadzenia tego zadania. W ramach projektu przeszkolono głównych autorów strategii oraz osoby odpowiedzialne za przyszłe jej wdrażanie. Przeszkoleni pracownicy Unii mieli możliwość skorzystania z umiejętności i wieloletniego doświadczenia ekspertów działających w dziedzinie przygotowywania, pisania i uspołeczniania strategii dla różnych regionów w Anglii.

Monika Bulińska dziękując gościom z South Ribble za wkład merytoryczny w budowie strategii tu-

rystyki, okazaną gościnę podczas wszystkich odbytych wizyt podkreśliła, że:

„Zdobyta wiedza w pełni została wykorzystana jak i również będzie cenną podczas opracowywania kolejnych, przyszłych projektów. Pamiętać należy o tym, że zdobyta wiedza i umiejętności to nie wszystko. „Połowa” sukcesu to praca zespołowa i to o randze międzynarodowej: poznanie wspólne gmin, ich codziennych problemów, możliwości ich rozwiązywania, wymiana doświadczeń, wymiana językowa, poznanie kultur oraz rozmowy o przyszłości.”

Poinformowała, że: wdrożono już jedno z przedsięwzięć strategii – sieć szlaków rowerowych na obszarze Unii.

By umożliwić wszystkim uprawiającym rowerową turystykę aktywną stworzono 11 szlaków o łącznej długości 252 km. Szlaki prowadzone są z dala od głównych ciągów komunikacyjnych, umożliwiając turystę, zarówno rowerowemu jak i pieszemu, bezpieczne poruszanie się po naszym regionie. Długość i trudność szlaków pozwalają na wybór szlaku odpowiedniego do możliwości każdego turysty. Pomocą w po-



ruszaniu się po pięknym regionie śremskim jest pod ręczna mapa turystyczna wydana przez ŚOWMP.

Zbudowano 6 miejsc postojowych, gdzie można usiąść i zjeść, odpocząć przed dalszą podróżą.

Teren zaopatrzone w informację.

Pierwsza kampania promująca szlaki odbyła się podczas dwóch imprez:

a) wewnętrznej – „Pożegnanie lata rowerowym szlakiem” w Dolsku we wrześniu 1999 roku

b) na międzynarodowych targach turystycznych TOUR SALON w Poznaniu w październiku 1999 roku.

Celem budowy Strategii Rozwoju Turystycznego Unii Gospodarczej Miast Regionu Śremskiego (SRG UGMRŚ) jest zharmonizowanie działań i określenie kierunków rozwoju

turystyki na obszarze gmin stowarzyszonych w Unii Gospodarczej Miast Regionu Śremskiego. Skoordynowane działania pozwolą na pełne wykorzystanie istniejących zasobów przyrodniczych i kulturowych. Natomiast wy-

znaczenie obszarów pochodzenia turystów oraz ich preferencji umożliwi bardziej skuteczną promocję naszego regionu.

Budowa strategii pozwoli na określenie kierunków rozwoju turystyki na terenie Unii Gospodarczej Miast Regionu Śremskiego, a ostatecznie na stworzenie sieci usług turystycznych o dobrym standardzie, zarządzanych przez profesjonalnie przygotowanych ludzi.

Zakończenie procesu tworzenia strategii przewidywane jest na wiosnę 2000 roku, zgodnie z założeniami technicznego projektu współpracy (Technical Links Scheme) z dystryktem South Ribble (Północno-Zachodnia Anglia), realizowanego dzięki Brytyjskiemu Funduszowi Know-How. Cele określone w strategii będą realizowane etapami. Najkrótszy czas realizacji trwał będzie 2 lata, średni 5 lat, najdłuższy 10 lat. Realizacja celów strategicznych obejmować będzie głównie obszar Unii, chociaż dla niektórych przedsięwzięć zadania będą wykaczały poza obszar Unii obejmujących gminy lub regiony sąsiednie.

Stworzenie strategii pozwoli na planowanie inwestycji w turystyce ze świadomością, iż będą one stanowiły jeden z elementów sieci turystycznej w

Unii, a nie przypadkowy obiekt bez jasno sprecyzowanych celów.

Będzie to wymagać przeprowadzenia analiz i

ocen warunków turystycznych sprzyjających rozwojowi gmin, w szczególności zaś:

- zasobów naturalnych,
- zasobów kulturowych (muzea, wystawy, zabytki architektury),
- bazy turystycznej (noclegi, gastronomia),
- warunków społecznych (gościnność i przychylność mieszkańców),
- infrastruktury technicznej,
- bezpieczeństwa publicznego.

Realizatorem przedsięwzięcia jest Śremski Ośrodek Wspierania Małej Przedsiębiorczości w Śreмі.

Przedstawiciel strony Brytyjskiej podziękował za współpracę i wyraził nadzieję, że nie zakończy się

ona wraz ze spisaniem dokumentu.

W geście uhonorowania prac nad strategią burmistrz Marek Basaj wręczył członkom delegacji oraz przedstawicielom gmin egzemplarze dokumentu. Na zakończenie sympatycznego spotkania wymieniono symboliczne pamiątki.

Agnieszka JAHNS



Uchwała nr 244/XXIII/2000

Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 14 kwietnia 2000 r.

w sprawie: ustalenia stawki czynszu regulowanego za lokale mieszkalne w budynkach przy ul. Kopernika 21C i Kopernika 21A w Śremie, stanowiących własność Śremskiego TBS Sp. z o.o.

Na podstawie art. 28 ustawy z dnia 26 października 1995 r. o niektórych formach popierania budownictwa mieszkaniowego (Dz. U. Nr 133 poz. 654 ze zmianami) oraz art. 40 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. Nr 13 poz. 74 z 1996 r. ze zmianami) Rada Miejska w Śremie uchwala co następuje:

§ 1

Dla budynków mieszkalnych przy ul. Kopernika 21C i Kopernika 21A, będących własnością Śremskiego TBS Sp. z o.o. ustala się czynsz regulowany w wysokości 6,30 zł/m².

§ 2

Czynsz, o którym mowa w § 1 obejmuje pokrycie kosztów eksploatacji i remontów oraz spłatę kredytu, zaciągniętego na budowę ww. budynków mieszkalnych.

§ 3

Wykonanie uchwały powierza się Zarządowi Miejskiemu w Śremie.

§ 4

Uchwała podlega ogłoszeniu przez rozplakatowanie w miejscach publicznych, na tablicach informacyjnych, a także w prasie lokalnej.

§ 5

Uchwała wchodzi w życie z dniem 1 grudnia 2000 roku.

Przewodniczący Rady
Bolesław Wośkowiak

Uzasadnienie

do Uchwały Nr 244/XXIII/2000
Rady Miejskiej w Śremie
z dnia 14 kwietnia 2000 r.

w sprawie: ustalenia stawek czynszu regulowanego za lokale mieszkalne w budynkach przy ul. Kopernika 21C i Kopernika 21A w Śremie, stanowiących własność Śremskiego TBS Sp. z o.o.

Propozycja wysokości czynszu za lokale mieszkalne w budynkach przy ul. Kopernika 21C i Kopernika 21A, stanowiących własność Śremskiego TBS Sp. z o.o. została oparta na przedstawionych składnikach czynszu.

Stawka 6,30 zł/m² obejmuje:

- 1) spłatę kredytu 3,41 zł/m²
- 2) koszty eksploatacji 2,60 zł/m²
- 3) rezerwę na indeksację 0,29 zł/m²

Na koszty eksploatacyjne 2,60 zł/m² składają się następujące pozycje:

- 1) wynagrodzenie 0,75 zł/m²
- 2) podatek od nieruchomości 0,06 zł/m²
- 3) energia elektryczna 0,05 zł/m²
- 4) ubezpieczenie budynków 0,28 zł/m²
- 5) odpis remontowy 0,97 zł/m²
- 6) utrzymanie zieleni 0,17 zł/m²
- 7) utrzymanie czystości 0,10 zł/m²
- 8) pozostałe koszty 0,22 zł/m²

Przyjęta stawka 6,30 zł/m² zabezpiecza pokrycie kosztów eksploatacji, stworzenie funduszu remontowego oraz spłatę kredytu na budowę budynków mieszkalnych przy ul. Kopernika 21C i Kopernika 21A.

Burmistrz
Marek Basaj

Opowieść o nagradzaniu...

Ch. A. Coonradt w książce „*Opowieści o wielorybie*” opisuje w jaki sposób opiekun wielorybów skłania ważące ponad 9 ton walenie do wyskakiwania z wody na wysokość sześciu metrów i wykonywania wszelakich ewolucji.

Pani Elżbieta Wasiak-Kowska w swojej publikacji *Osiągnąć sukces* (Nowe w szkole, 8/1999-2000) również zaintrygowana taką postacią rzeczy wysuwa hipotezę „chwal i podkreślaj to, co pragnąłbyś oglądać częściej”. Jak udaje się poskromić siłę i złość, by przymusić zwierzę do przeskakiwania nad lustrem wody, nad liną? Czy czasami nie jest to ta sama trudność, przed którą stoją rodzice i nauczyciele w chwilach rozpoczynających dany proces nauczania. Wiadomo jest od wieków, że najważniejszą metodą pozyskiwania uczniów dla rozwiązania danego problemu jest wielokrotne wzmacnianie oczekiwanego zachowania podopiecznego. Dziecko nie ma ochoty (a cóż dopiero dorosły!) ponosić porażek dydaktycznych, a więc prostą zasadą jest określanie stopnia trudności w sposób bardzo rytmiczny i uzależniony od jego predyspozycji oraz możliwości intelektualnych czy fizycznych. Uczeń pokona pierwszy stopień trudności, uzyska ogromne wzmocnienie w postaci drobnej nagrody czy pochwały, by po krótkim czasie poddać się próbie trudniejszej. Gdy jej nie pokona, nie ma nagrody, ale też nie powinno być przykrych uwag, krytyki, dziwnych wskazówek. Nauczyciel mówi spokojnie, nie przejawia żadnej agresji.

Zapomnijmy o wielorybie, a skupmy się na treści opowieści. To tak jak przenoszenie się do literackiego świata zwierząt. Wiem, że niektórzy pomyślą – jest to dobry materiał na okres Bożego Narodzenia.

Za Elżbietą Wasiak-Kowską (uznałem to za przesłanie!) chciałbym przekazać czytelnikom wskazówki.

Co należy zrobić, aby szkoła stała się miejscem wspólnego sukcesu, tych którzy wiedzę i umiejętności przekazują, i tych co ją zdobywają?

Najważniejsze, ale i najtrudniejsze, to stworzyć takie warunki, by uczeń nie musiał ponosić porażki. Ktoś powie, co to za wychowanie w ciepłarnianych warunkach; że nie poradzą sobie z życiem współczesnym. Otóż nieprawdą są takie określenia, a to z prostej przyczyny: stanowi to podstawę sukcesu, odpowiedzialności za efekty pracy. Zrobiłem, a więc stać mnie na więcej. Nie skrzyczano mnie za to,

a więc jest to pozytywne.

Jeżeli jakieś zachowanie czy dokonanie ucznia powinno być powtórzone, bo jest pożądane, to należy szybko uruchomić system nagrody. Jest to konieczne dla osiągnięcia sukcesu. To nie przysłowiowy kij i marchewka, a tylko wzbudzająca aktywność.

Krytykować na minimalnym poziomie. Człowiek, a szczególnie dzieci doskonale wiedzą, kiedy zawiedli oczekiwania. Najbardziej potrzeba im wtedy życzliwości, pomocy, przyjaznych gestów czy słów. Wiary, że mają prawo popełniać błędy – ktoś ich nie popełnia, pewno tylko te osoby, które udają aktywność twórczą.

Czy stać nas na szkołę, która podoła takiemu wyzwaniu? Czy jako rodzice możemy się pokusić o taki sposób postępowania. Niech każdy spróbuje, to przecież nic trudnego. W każdym z nas tkwi talent pedagogiczny, tylko należy go wyzwolić. Dać upust własnym przemyśleniom, właśnie teraz kiedy przetacza się przez mass media fala dyskusji na temat zreformowanej szkoły. Przecież każdy dobrze wie, że reforma dotyczy nie tylko zmian organizacyjnych, a przede wszystkim merytorycznych, programowych. Poszukiwania nowych metod, a czasami sięganie po sprawdzone w doświadczeniu wzory są motywem przewodnim takiego postępowania. Po co wyważać drzwi, kiedy można podglądać świat, słuchać innych, ba nawet powielać ich zachowania i poglądy.

Adam LEWANDOWSKI



Park bez platana

Ostatnio po raz pierwszy w życiu (!) miałem okazję przechodzić przez Park im. Włodzimierza Puchalskiego w Śremie. Skróciłem sobie w ten sposób drogę do pracy. Może nie ma w tym nic dziwnego. Ale to akurat jeden z tych pierwszych wiosennych dni, kiedy człowiek ze zdziwieniem odkrywa, że jest mu ciepło nawet bez kurtki na grzbiecie, że śpiewają ptaki i „w ogóle”. Będąc w Parku Puchalskiego, ten sam człowiek staje oko w oko z jeszcze jednym przeżyciem – on jest to miejsce, które otoczone jest dookoła miastem (koszary, szpital, Helenki, „Złodziejewo”, bloki Kilińskiego). Ze wszystkich stron dociera do człowieka szum samochodów, wyczuwa się wprawdzie odległość, ale wszechobecny pośpiech – do pracy, z pracy, do szkoły, na obiad, na zakupy...

A człowiek idzie parkową ścieżką i patrzy na to wszystko z niejakim zdziwieniem: *Zachwile sam będę w pracy. Rzucę się w tzw. „wir życia” i w ogóle nie przyjdzie mi do głowy, że można mieć do tego jakiś dystans.* Imitacja człowieka w tzw. „wirze życia”, ale jednak zachowuje resztki owego dystansu.

Spacer po parku... Ileż to piosenek powstało na ten temat! Ciekawe, że w ich tekstach występuje zadziwiająca ekspansja pewnych gatunków roślin – pełno tam np. kasztanowców, bżów i platanów. Ci przedstawiciele flory niebawem znajdą się zapewne w nowym i uaktualnionym wydaniu słownika symboli Włodzimierza Kopalnińskiego. Nie sposób, bowiem np. nie kojarzyć kwitnących kasztanowców za zbliżającą się wielkimi krokami maturą, zapachu bżów – z zakochanymi, a plata-

nu – ze starym parkiem właśnie. No tak, ale nasz Park im. Puchalskiego wcale nie jest stary i nie było czasu, żeby wyrosły w nim platany, kasztanowce i bzy... Zresztą – nie wiadomo, czy „pasowałyby” do tych trzcin i wilgoci.

Jest to park bardzo nietypowy – raczej rezerwat. Nie ma tam asfaltowych dróg, placu zabaw, budki z lodami i piwem, kiełbasek – nawet w niedziele – na szczęście. Nie posadzono tam sumaków octowców, srebrnych świerków, które wypierają ze współczesnych ogródków bzy i jaśminy pachnące w niejednym polskim wierszu czy piosence. Nikt nie postawił tabliczek z napisem: „Nie deptać trawników”... Małe jezioro nie posiada betonowych obrzeży.

A jednak to wszystko, choć dalekie od cywilizacji, nie odrywa człowieka od „wiru życia”. Wbrew pozorom, utartym schematom – przyroda i cywilizacja nie muszą być dla siebie wrogami, nie muszą współpracować i rywalizować ze sobą. Jedno o drugim przypomina: kwitnące kasztanowce – maturzystom o maturze, pachnące bzy – o „sprawach matrymonialnych”, a Park im. Włodzimierza Puchalskiego w Śremie – o tym, że... tuż obok toczy się prawdziwe życie i trzeba przyspieszyć kroku, żeby zdążyć do pracy.

Andrzej TOMASZWSKI

PS. Szanownym Czytelnikom dedykuję piosenkę Jerzego Połomskiego „Kiedy znów zakwitną białe bzy”.



Trakt Cesarski

12 i 13 kwietnia br. Instytut Archeologii i Etnologii PAN, Oddział w Poznaniu, zorganizował konferencję naukową, z udziałem badaczy z Niemiec, pod tytułem TRAKT CESARSKI. Spotkanie odbyło się w Muzeum Archeologicznym. W pierwszym dniu obrad 12 kwietnia br. o godzinie 18-tej Dyrektor Muzeum Archeologicznego prof. Lech Krzyżaniak otworzył wystawę pod tytułem „Rok 1000 - Archeologia traktu cesarskiego”.

Dzięki uprzejmości red. Barbary Jahns dostałam za prośbienie i wzięłam udział w tej fascynującej dla mnie konferencji naukowej. Otworzył ją ks. bp. Stanisław Gądecki oraz prezydent miasta Poznania Ryszard Grobelny. Po wprowadzeniu przez prof. Lecha Krzyżaniaka oraz prof. M. Kobusiewicza krótkie półgodzinne referaty wygłosili: doc. W. Dzieduszycki wraz z dr M. Przybyłem. Następnym prelegentem był prof. J. Strzelczyk - autor wydanej ostatnio książki pt. Zjazd Gnieźnieński. Po nim wystąpił prof. Lech Leciejewicz, omawiając odcinek drogi podróży Ottona III z Miśni do Głogowa. Po przerwie od 13-14.30 prof. Zofia Kurnatowska wygłosiła świetny referat pt. Organizacja grodowo-terytorialna Wielkopolski w okresie wczesnopiastowskim a hipotetyczny przebieg drogi Ottona III do Gniezna. Po niej jeszcze omawiała swe odkrycia archeologiczne na Ostrowie Tumskim w Poznaniu prof. Hanna Kočka-Krenz. Były to fakty znane z ostatnich doniesień naszej prasy. Ostatnim prelegentem w tym dniu był prof. Jacek Banaszkiewicz, zajmujący się oprawą ceremonialną wizyty cesarza w stolicy Polski.

Dla mnie osobiście najciekawszym był referat prof. Zofii Kurnatowskiej, znanej z prac badawczych na tere-

nie klasztoru benedyktynów w Lubiniu oraz na Lednicy. Uczona mówiła rzeczowo, pięknym klarownym językiem. Dzielę się więc z Państwem fragmentami jej wypowiedzi: Różni przedmówcy poruszali

problem wielkości orszaku cesarza, powiększonego od granicy naszego państwa przez wojów Bolesława Chrobrego. Padła nawet liczba tysiąca ludzi.

Łączy się z tym pytanie, gdzie nastąpiły noclegi tak licznej grupy ludzi, w jakich warunkach.

Wyjaśniała te sprawy prof. Kurnatowska. W państwach zachodnich o starszej państwowości takich jak Włochy, Niemcy, Francja

zatrzymywano się najchętniej w klasztorach, mieszczących się w pobliżu dróg, a nie w zamkach. Na przykład benedyktyni mają nawet w swej regule obowiązek

gościnności. Klasztory zapewniały komfort, dom dla gości z piekarniami itp. No tak, ale u nas w roku tysięcznym tych klasztorów jeszcze nie było. Oparciem więc pozostały grody. Wielkość ich była w przypadku gródka mniej więcej 0,20 ha, ale z solidnym wałem. Grody centralne miały nawet parę hektarów wielkości. Zapewne więc w grodach nocowało najdostojniejsze grono gości, a reszta w istniejących już wtedy karczmach i porządnych chatkach kmieci. Źródła historyczne mó-



wią o namiotach używanych w wyprawach wojennych. Istniała więc taka możliwość. Nie sposób referować wszystkich poruszanych zagadnień. Co mnie ucieszyło to kilkakrotnie zaznaczony przez uczonych niepodważalny przejazd cesarza przez Śrem - jako starej historycznej miejscowości, z też pradawnym kościołem. Przejazd cesarza przez Poznań był dla wielu uczestników konferencji wątpliwy. Raczej z Gieczu udano się wprost do Gniezna.

W dyskusji, w której też brałam udział, ktoś chyba słusznie zauważył, że Otton III musiał inną drogą wracać do Niemiec, a to ze względów aprowizacyjnych. Zapasy żywności były zapewne wyczerpane po przejeździe orszaku do Gniezna. Trasa powrotna musiała więc uwzględnić inne grody, a w nich zaopatrzenie.

Aby przybliżyć nam ludzi żyjących w tym wieku zamieszczam postanowienie obyczajowe księcia czeskiego Brzetysława (tego, który w 1038 roku wywioził relikwie św. Wojciecha z Gniezna do Pragi). Jak z tego wynika problemy moralne teraz pozostały te same. Nic się przez te tysiąc lat nie zmieniło tyle, że kary były wtedy surowsze.

Bogna MIERZEJEWSKA-URAMOWA

Książę czeski Brzetysław wydał wiele postanowień obyczajowych, mających obowiązywać w jego państwie. Według kronikarza Kosmasa ich ogłoszenie nastąpiło w Gnieźnie podczas wyprawy w roku 1038.

DOBRE OBYCZAJE

Na samym początku umieszczono zapis, aby mąż poprzestawał „na jednej żonie i żona na jednym mężu”; kto się rozwiedzie i zostanie uznany za winnego wprowadzie nie będzie, jak dawniej, uznany za niewolnika, ale będzie wygnany „na Węgry”. To samo ma spotkać „panny i wdowy, i cudzołożnice, o których wiadomo, że utraciły dobre imię, zgubiły wstyd i poczęły przez nierząd”, a zwłaszcza gdy „spędzają swoje płody, co jest zbrodnią najgorszą ze zbrodni”. Jeżeli żona oskarży męża, że jest przez niego bita, to oboje zostaną wezwani przed sąd boży i „kto uznany będzie winnym zapłaci karę winy”. Równie ostre kary przewidziano dla morderców; najpierw zostaną „sprawdzeni gorącym żelazem” albo pławieni w wodzie, a gdy zostaną uznani winnymi, będą także „wygnani z księstwa”. Za szczególnie gorszące miejsca uznano karczmy, które są „korzeniem wszystkiego zła, skąd wywodzą się kradzieże, morderstwa, cudzołóstwo i inne grzechy”, a więc kto je zakłada lub nabywa „niech będzie wyklęty”. Karczmarzy miano smagać „aż do zmęczenia siepacza”, napoje wylewać, a pijaków wsadzać do więzienia „aż do skarbcza książęcego złożą każdy trzysta monet”. Zabronione zostały targi w niedzielę, wykonywanie „służebnej pracy” oraz grzebanie zmarłych „na polach lub w lasach”, czyli poza ziemią poświęconą.

(Kronika Kosmasa z Pragi).

Przedstawicieli Handlowo-Produkcyjnych w branży papierniczo-pasmanteryjnej. Wysokie wynagrodzenie. Załączyć znaczki (polecone):

**„F.H.I.” – AKW, sk. 1119
Moniuszki, 35-017 Rzeszów I**

**ZA WŁASNE PIENIĄDZE MOŻESZ
MIŁO SPĘDZIĆ WAKACJE (URLOP).
PRACA PRZY PRODUKCJI KOPERT
KOLOROWANYCH – GWARANCJA
ODKUPIENIA. ZNACZKI ZA 4,00 ZŁ
NA ODPOWIEDŹ:**

**C-PRIH, ASNYKA 9, BOX 214 KOP,
35-959 RZESZÓW 2.**

Warto przypomnieć...

A gdy będę umierał...

Stanisław Staszewski urodził się w 1925 roku. Pochodził z rodziny szlacheckiej, której majątek był mocno nadwątłony. Ojciec Stanisława był dyrektorem gimnazjum.

Staszek Staszewski podobnie jak wielu ludzi z jego pokolenia brał udział w powstaniu na Pradze, gdzie walka zakończyła się już po kilku dniach i grupy powstańców stanęły wobec alternatywy nieuniknionej śmierci. Jak wiadomo, w początkach powstania „polscy bandyci” nie mieli przywilejów kombatanckich i wyroki były natychmiastowe. Staszewski z kolegami znaleźli jednak wyjście – skorzystali z aktualnie prowadzonego przez Niemców werbunku Polaków do służby w Wehrmachcie. Biorąc pod uwagę alternatywę śmierci, usprawiedliwiali swój wybór – jeśli nadarzy się okazja zdezerterują... Niestety złapano ich, ale już nie jako „polskich bandytów”, tylko jako dezertów. Znalazł się Staszek w... Mauthausen. Jak należy przypuszczać, warunki w Mauthausen nie były zbyt sprzyjające i wkrótce zaczął Staszek podupadać na zdrowiu.

Demonstrowało się to tym – jak opowiadał – że jakiegokolwiek uderzenie (a tego nie można było uniknąć...) powodowało natychmiast ranę, z której sączyły się różne wycieki. W konsekwencji, nie mogąc dłużej pracować w przybozowych kamieniołomach trafił do „szpitala”. Szpital obozowy różnił się od reszty obozu tym, że o ile w obozie na jednej przyczepie spało 5 więźniów, w szpitalu na łóżko przypadało tylko trzech. Stan zdrowia Staszewskiego w szpitalu nie poprawiał się. W ostateczności po kilku dniach wyniesiono go na stos trupów, gdzie przeleżał całą noc, na mrozie. Zaraz po wyładowaniu w Mauthausen wysłał Staszewski krótki (12 słów na miesiąc...) list do swojej ciotki, aktualnie rezydującej gdzieś w Poznańskim, w Rzeszy, z prośbą o paczkę żywnościową (cebula, słonina, cukier...).

Urwatował go przypadek – nadeszła paczka od ciotki, a ponieważ jej odebranie było niemożliwe w wypadku śmierci adresata, obozowy kapo (Zbigniew Dębiński) odszukał Staszewskiego. Kiedy zorientował się, że ten jeszcze żyje, przeniósł go do baraku i otoczył opieką.

Po zakończeniu wojny Stanisław Staszewski rozpoczął studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Zetknął się tam z wieloma ludźmi, którym tak jak jemu, wojna uniemożliwiła rozpoczęcie studiów w normalnym terminie. Wśród ludzi tych panowała atmosfera opozycyjna, Stanisław zaś – przeciwnie – podążał właśnie w stronę lewicy. Pisał wówczas: *Poglądy moje stają się bardzo lewicowe. Coraz magnetyczniej działa na mnie ryk zbuntowanych tłumów, uciśnionych mas pracujących...*

W roku 1951 Stanisław Staszewski poznał swoją żonę, Krystynę. Wspomina ona, że zauroczył ją swoją odmiennością i swoim śpiewem.

W tym czasie powstał też klub „Piwnica” przy Placu Grzybowskim. Klub ten stał się miejscem spotkań młodych warszawiaków. Stanisław Staszewski stał się szybko duchowym liderem wszystkich przychodzących do „Piwnicy”. Jak wspominają: *Był wspaniałym opowiadaczem, rozmówcą, zabawiaczem, duszą towarzystwa, wodzirejem, uwodzicielem (tyle, że nieskutecznym)... I przede wszystkim – bardem.*

W 1961 roku Staszewski wyjechał do Płocka, gdzie otrzymał posadę architekta miejskiego. Tam również szybko znalazł się w centrum życia towarzyskiego, bale przez niego urządzone przechodziły do legendy. Stanisław obracał się wtedy w kręgach młodzieży skupionej wokół klubu „Marabut”. Powstały wówczas takie utwory, jak „Celina” i „Baranek”. W tym czasie tworczość barda zaczęła się interesować milicją, jego teksty były bacznie analizowane, jako podejrzane ideologicznie.

Wkrótce rozpoczęły się konflikty z władzami zakończone powrotem przez Staszewskiego do Warszawy. Został usunięty z partii, co oznaczało w tamtych czasach utratę możliwości znalezienia pracy w zawodzie architekta.

W 1963 roku urodził się syn Kazimierz, późniejsza gwiazda scen polskiej muzyki młodzieżowej.

Wszyscy jego ówczesni znajomi podkreślają niezwykle znaczenie kobiet w życiu Stanisława. Wszystko co robił, robił dla kobiet; aby móc egzystować, musiał kochać, wielbić, uwodzić. Wiele jego tekstów ma bardzo silne ko-

neksje z autentycznymi wydarzeniami (bohaterka „Baranka” na przykład istniała w rzeczywistości).

W roku 1967 Stanisław Staszewski wyemigrował do Francji, do Paryża. Pozostawił w Warszawie – z żoną i babcią – czteroletniego syna. Wśród emigracji polskiej już wówczas miał opinię niezwykle człowieka, bon vivanta i artysty.

We Francji Staszewski prowadził życie typowe dla artystów z bohemy. Był na „nieustannych wakacjach”, żył z dnia na dzień. Jak wspomina jeden z jego przyjaciół: „*Sytuacja była paryska – to znaczy – Paryż był piękny, a życie trudne*”. Stanisław był zapraszany na niezliczoną ilość przyjęć, bywał także często w knajpie Le Reveillac, gdzie spotykali się emigranci polscy i rosyjscy.

W Paryżu powstały między innymi takie utwory, jak „*Bal kreślarzy*” czy „*Marianna*”.

Od roku 1968 do 1970 Staszek Staszewski pracował w Boulogne-sur-Mer, po czym ponownie przeniósł się do Paryża, o którym pisał zresztą – *to miasto dla turystów i mieszkańców Avenue Foch. I tylko. Reszta mierzwa, asefetyda do kropienia pitfurek naprzykrzonych salonach Europy*”.

Staszewski zdawał sobie sprawę ze złego stanu swojego zdrowia. Już wcześniej dowiedział się, że ma chore serce; na stoliku obok telefonu w jego mieszkaniu stała kartka z przeliterowanym adresem, aby można było wezwać pogotowie. Mimo tego – żył nadal pełnią życia, nie oszczędzając się ani przez chwilę.

Historycznie określając tego niezwykle skomplikowanego człowieka – i niewątpliwie jednego z najciekawszych ludzi, jakich znałem w moim życiu – pisał Jan B. Tereszczenko pseudonim TEKÓ, przyjaciel Staszka: *to na pierwsze miejsce w charakterystyce jego osobowości pcha się jednak ten CYNIZM. Nie... nie... nie...! Nie chodzi tutaj o coś trywialnego, co często chadza jako „cynizm” w odniesieniu do ludzi o marnym albo niskim podejściu do życia, a raczej o CYNIZM FILOZOFICZNY, zjawisko rzadkie i niezwykle uciążliwe zarówno dla nosiciela jak i dla otoczenia*.

Na dzień przed śmiercią, a było to w 1973 roku, napisał utwór „*A gdy będę umierał*” – przejmujące świadectwo świadomości swojego końca.

Czy Staszek Staszewski miał kiedykolwiek naprawę bliskich przyjaciół, trudno powiedzieć. Na takie uproszczenia był zbyt enigmatyczny. Istniał natomiast wokół zawsze znaczny krąg młodych ludzi, dla których wydawał się być zbyt skomplikowany psychicznie i emo-

cjonalnie, aby pozwalać sobie na „bliskie” przyjaźnie, a pod żadnym pozorem na dogłębne poznawanie jego osobowości. Paradoksalnie brzmi to sformułowanie w odniesieniu do człowieka, którego wszyscy pamiętają jako niezwykle wprost ekstrawertyka, ale w tym paradoksie zawarta jest właśnie cała prawda: paradoksalność, sprzeczności wewnętrzne, niezwykle wprost intelekt i... CYNIZM!... Co pozostało...

To przecież Staszka syn, KAZIK (Kazik, Kazik na Żywo, Kult) jest bożyszczem tłumów. To właśnie nagranie przez KAZIKĄ płyty *Tata Kazika* i *Tata 2* przybliżyły nieznaną powszechności teksty piosenek. Warto się z nimi zapoznać...

Adam LEWANDOWSKI

Wykorzystano wspomnienia Jana B. Tereszczenko pseudonim TEKÓ (przyjaciela Staszka), które były do tej pory publikowane w niewielkich nakładach.

A gdy będę umierał

A gdy będę umierał,
To nie przyjdzie generał.
Ziewnie z cicha dyrektor,
Bo umiera byle kto.

Serce pluśnie w staw ciszy,
Doktór papier podpisze.
Szakal z hieną z kantorka
Złożą rzeczy do worka.

Żona przyjdzie w welonie:
Masz przepustkę, Charonie.
Złoty ząbek zostawić,
Piórko z głową poprawić.

A gdy będę chowany,
Syn zapłacze pijany.
Zdepcze szarfy dostojne,
Potem pójdzie na wojnę.

Na cmentarzu pod murem
Słońce zajdzie za chmurę,
Drobną deszczą pokropi,
Pamięć moją zatopi.

A na stypie z bigosem
Strasznym krzyknie ktoś głosem.
Wyjdiesz patrzeć kto woła,
Znajdziesz ciszę dookoła.

Potęga drzew

Jakże często jadąc samochodem, gdzieś poza miastem, mijamy rosnące przy drodze aleje drzew. Wydają się być czymś zupełnie naturalnym, zwyczajnym elementem krajobrazu. Tymczasem ich przyrodnicza funkcja oraz znaczenie dla nas, dla ludzi, jest wręcz ogromne. Pozytywny wpływ śródpolnych zadrzewień na warunki klimatyczne oraz równowagę biologiczną pól leżących w ich sąsiedztwie dostrzegano już w ubiegłych stuleciach. Dostrzegano, lecz nie doceniano. Liczne badania, zrealizowane przez placówki badawcze w Europie w tym również w Polsce, potwierdziły niezwykle korzystny wpływ śródpolnych zadrzewień na otoczenie. Oto przykłady ich najistotniejszych funkcji.

Ograniczenie erozji wietrznej gleb:

erozja wietrzna gleb, a więc ich wywiewanie przez wiatr, to jedna z najistotniejszych przyczyn degradacji gleb w Polsce. Z przesuszonych pól, bez roślinności, wiatr z łatwością porывa najmniejsze cząstki gleby a także nawozy mineralne, wynosząc je daleko poza pola uprawne. W ten sposób z jednego hektara pól mogą zostać bezpowrotnie usunięte tony gleb. Jakże często jadąc w wietrzne dni drogą prowadzącą przez pola uprawne pozbawione zadrzewień widać przydrożne rowy zasypane wywianą z pól glebą. Skala tego wysoce niekorzystnego zjawiska jest olbrzymia, gdyż ponad 25% powierzchni kraju podlega erozji wietrznej. Rola zadrzewień w ograniczaniu prędkości wiatrów jest dostrzegalna o każdej porze roku. Również w okresie, w którym drzewa pozbawione są liści. Poza ograniczaniem prędkości wiatrów, a więc ich siły erozyjnej, zadrzewienia tworzą po swojej zawietrznej stronie sferę „ciszy”, często niemal bezwietrzną. Jak wykazały badania, te możliwości śródpolnych zadrzewień zależą przede wszystkim od ich charakteru. Najlepiej spisują się zadrzewienia składające się z wysokich drzew oraz towarzyszących im niskich krzewów. Szybkość wiatru za takim, odpowiednio szerokim pasem zieleni może spadać nawet o 85%, a powstała w ten sposób

ochronna strefa „ciszy” może się rozciągać na odległość równą 30. krotnej wysokości takich drzew.

Ograniczanie erozji wodnej gleb:

inną pozytywną funkcją śródpolnych zadrzewień jest ich rola w ograniczaniu ilości gleb wymywanych przez spływające po powierzchni pól wody. Mogą one, zwłaszcza po intensywnych opadach, porwać z sobą tony gleb z jednego hektara. Są to olbrzymie straty. Niemal 30% powierzchni kraju dotknięta jest problemem erozji wodnej. Ilość porывanej przez spływające wody gleby zależy od kilku czynników np.: rzeźby terenu, charakteru gleb oraz od szaty roślinnej. W zabezpieczeniu gleb przed erozją wodną szczególnie dobrze spisują się śródpolne zadrzewienia. Zwiększają one wsiąkanie wód w glebę, zachowując w ten sposób znaczne ilości gleb przed rozmyciem.

Kształtowanie bilansu wodnego:

w ostatnich latach nastąpił znaczny wzrost zużycia wody. Jednocześnie zmalała obfitość opadów atmosferycznych – głównego dostawcy wody. Już dziś w Wielkopolsce opady osiągają wartości typowe dla suchych – stepowych obszarów Europy (500-550 mm/rok). Powstał problem przesuszenia – stepowienia Wielkopolski. Pojawiły się gatunki roślin stepowych, które dla naszej strefy klimatycznej są obce. Zresztą problem deficytu zasobów wodnych dotyczy

całego kraju. Pod względem zasobności w wodę w przeliczeniu na jednego mieszkańca, Polska zajmuje 22 miejsce w Europie i choć wydaje się to nieprawdopodobne, na przeciętnego Kowalskiego przypada mniej wody niż na mieszkańca „suchych” Indii.

Jak do tych faktów mają się śródpolne zadrzewienia? Otóż główną przyczyną tak niekorzystnego bilansu wodnego jest nadmierne wylesienie kraju oraz zbyt intensywne osuszanie terenów podmokłych. Lesistość gminy Śrem jest wyjątkowo niska. Lasy zajmują zaledwie 16% jej powierzchni. Średnia lesistość Polski to ok. 28% a Europy ok. 32%. Cyfry te mówią same za siebie. Lasy to najlepsze, naturalne magazyny wody. W Środowisku rozległych pól uprawnych taką funkcję pełnią śródpolne zadrzewienia a także zbiorniki wodne (tzw. oczka wodne), tereny podmokłe, torfowiska itp. Istnieje bardzo wiele publikacji naukowych dokumentujących poprawę bilansu wodnego na tych obszarach wiejskich, w których występują te elementy środowiska a zwłaszcza przecinające pola zadrzewienia. W obliczu tak silnego przesuszenia wielu regionów kraju ich znaczenie nabiera szczególnej rangi.



Ochrona jakości wód:

zadrzewienia nie tylko zwiększają retencję wód w glebach, ale również wyraźnie poprawiają jakość tych wód. Otóż spływające z pól uprawnych wody nio-

są w sobie znaczny ładunek zanieczyszczeń np.: rozpuszczonych składników nawozów, metale ciężkie itd. Prędzej czy później dostają się one do wód powierzchniowych (rzeki, jeziora) i gruntowych, silnie je zanieczyszczając. Ponad 65% studni zagrodowych w Polsce zawiera wodę

bardzo złej jakości, właśnie z tego powodu. Również i w tym przypadku sytuację znacznie poprawia obecność śródpolnych pasów zadrzewień. Systemy korze-

niowe drzew działają jak filtry, które mogą nawet 20. krotnie obniżyć stężenie niebezpiecznych składników spływających z pól wód. Wykorzystanie zadrzewień jako filtrów i barier powstrzymujących odpływ składników chemicznych z pól

jest najczęściej stosowaną metodą w ochronie wody przeznaczonej do celów spożywczych.

Ograniczanie rozprzestrzeniania się zanieczyszczeń lotnych:

rozwój motoryzacji i mechanizacji rolnictwa stał się istotnym źródłem dopływu do gleb, wód i atmos-

fery substancji obcych dla środowiska, zwykle toksycznych dla człowieka. Badając rozprzestrzenianie się szkodliwych składników spalin samochodowych wzdłuż dróg, stwierdzono dużą ich zawartość na obszarach bez zadrzewień w odległości nawet 50 m od drogi. Zwarte, przydrożne zadrzewienia o szerokości ok. 10 m są w stanie przechwycić zdecydowaną większość tych składników, zapobiegając ich rozprzestrzenianiu.

Już tylko powyższe, wybrane funkcje śródpolnych pasów zadrzewień uświadamiają jak wielokierunkowe i szerokie jest ich pozytywne oddziaływanie na otoczenie, w tym również na człowieka. Nie wspomniano tu o innych, również bardzo istotnych funkcjach zadrzewień jak np.: o ich nieprawdopodobnym wręcz wpływie na utrzymanie bioróżnorodności świata roślinnego i zwierzęcego. Zagadnienie to stanie się być może tematem kolejnego artykułu.



W Polsce pierwsze nasadzenia o charakterze zadrzewień powstały w okolicy Turwi, na obszarze ok. 10 000 hektarów, w latach 20. ubiegłego wieku. Zostały one wprowadzone przez generała Dezyderego Chłapowskiego, na wzór zadrzewień szkockich. Zadrzewienia okolic Turwi są znane jako jeden z pierwszych na kontynencie przykładów w pełni zaplanowanego kształtowania krajobrazu rolniczego. Działalność Chłapowskiego szybko znalazła uznanie, lecz generalnie w skali kraju ilość istniejących i zakładanych pasów śródpolnej zieleni była i ciągle jest niewystar-

czająca. Dziś Turew podobnie jak rozległe obszary eksploatowane rolniczo w jej okolicy znajdują się w granicach Parku Krajobrazowego im. Gen. D. Chłapowskiego. Park ten znany jest jako pierwszy w Polsce park agroekologiczny, gdyż jednym z podstawowych celów jego istnienia jest wprowadzenie na obszarach wiejskich form gospodarowania nie zagrażających środowisku = człowiekowi oraz prawidłowe kształtowanie krajobrazu rolniczego, między innymi poprzez umiejętne wprowadzenie śródpolnych zadrzewień. Granice Parku Krajobrazowego obejmują również część gminy Śrem.

Michał LORENC



Foto:

1 i 2 – Śródpolne aleje
drzew pod Śremem
3 i 4 – Pod osłoną drzew

WOPR nad Jeziorem Grzymiśławskim c.d.

Artykuł ten jest kontynuacją mojej poprzedniej publikacji na łamach *Gazety Śremskiej* pt.: *WOPR nad Jeziorem Grzymiśławskim*. Tematyka i zakres materiału dotyczyły powstania i spraw ogólnej działalności WOPR-u na śremskim kąpielisku. Teraz chciałbym przybliżyć Państwu bieżącą działalność drużyny, która od początku towarzyszy mieszkańcom Jezioran nad Jeziorem Grzymiśławskim.

Nie chcę ponownie zagłębiać się w historię tej drużyny. Przypomnę tylko, że powstała ona w 1968 roku, a tworzyli ją pasjonaci, którym chodziło o bezpieczeństwo korzystających z kilkunastu plaż naszego jeziora. Pasjonatami zostali do dnia dzisiejszego. W ciągu wielu lat działalności główny cel działalności WOPR pozostał taki sam: nadzór nad kąpieliskami i niesienie pomocy potrzebującym w razie wypadku. Obecnie

mniej uwagi przywiązuje się do kąpielisk niestrzeżonych, ponieważ plaża miejska z założenia powinna wystarczyć amatorom kąpieli wodnych. Jednak ratownicy z drużyny odpowiedzialnej za bezpieczeństwo nad jeziorem sporadycznie patrolują dalekie zakątki tego akwenu. Trzon Drużyny WOPR Jeziora Grzymiśławskiego stanowią: Karol Pilańczyński, Zenon Zygoń, Krzysztof Pieprzyk, Ryszard Tobiasz, Grzegorz Antkowiak. Z drużyną ściśle współpracuje także większość czynnych ratowników wodnych w Śrebie. Przez cały czas działalności ratownicy swoją bazę mieli w „budynku”, który zarazem był magazynem na sprzęt pły-

wający. Obecnie dzięki swojej zaradności i pomocy sponsorów, w których gronie są również członkowie drużyny: Krzysztof Pieprzyk i Ryszard Tobiasz, ratownicy wybudowali woprowkę z prawdziwego zdarzenia. Prócz pomieszczenia dla członków drużyny znajduje się tam również mały hangar dla sprzętu, który ma zastosowanie jako warsztat naprawczy. Poprzez moją osobę ratownicy prosili o złoże-

nie podziękowań sponsorom, bez pomocy których stworzenie takich warunków pracy byłoby niemożliwe. Dlatego w ich imieniu pragnę podziękować za wsparcie firmie Budrol, panom: Włodzimierzowi Piosikowi, Tomaszowi Kocombie, Józefowi Rajchowi, Andrzejowi Zawadzkiemu, jak również samym członkom WOPR panom: Krzysztofowi Pieprzykowi i Ryszardowi Tobia-

szowi. Jednocześnie, przy okazji zbliżającego się sezonu letniego ratownicy przestrzegają przed korzystaniem z niestrzeżonych kąpielisk, nierozważnym zachowaniem nad wodą i proszą o jak największe zachowanie ostrożności w czasie przebywania nie tylko nad Jeziorem Grzymiśławskim, lecz także w pobliżu innych akwenów wodnych, by oni i ich koledzy mieli jak najmniej pracy przy strzeżeniu kąpielisk.

Ze swej strony przyłączam się do ostrzeżenia i życzę śremskim ratownikom jak najmniejszej liczby interwencji podczas pracy tego lata.

Bartosz ŻELEŹNY



Rowerem wokół Śremu

Śrem – Psarskie – Góra – Jaszkowo – Przylepki – Manieczki – Gaj - Śrem

Już od kilku tygodni pogoda poprawiła się na tyle, że bez obawy o swoje zdrowie możemy wsiąść na rowery i rozpocząć przejażdżki po okolicach Śremu. Obecnie nie musimy się już długo zastanawiać nad wyborem trasy, ponieważ w ubiegłym roku na terenie Ziemi Śremskiej zostały wyznaczone szlaki rowerowe. Właśnie trasami tych szlaków chciałbym zaproponować kilka wycieczek.

Ze względu na przerwę wywołaną zimą pierwszą z tras proponowałbym niezbyt długą, liczącą około 17 km, biegnącą ze Śremu przez Psarskie, Górę, Jaszkowo do Przylepek, a stamtąd przez Manieczki i Gaj powrotem do Śremu. Wybór szlaków był spowodowany tym,

że jest to trasa łatwa i przyjemna, nawet dla osób mających do czynienia z rowerem sporadycznie. Nawierzchnia, którą będziemy się poruszać to asfalt i drogi utwardzone.

Naszą trasę rozpoczynamy w Śremie na skrzyżowaniu ulic Kilińskiego i Kolejowej wraz z początkiem wytyczonego tamtędy niebieskiego szlaku rowerowego R-2A o nazwie „Kasztanowy”. Następnie ulicami Kolejową i Zachodnią wyjeżdżamy z miasta w kierunku Psarskiego. Po drodze nawierzchnia z asfal-

towej zmienia się na utwardzoną, a dodatkowo trzeba pokonać pierwszy z dwóch poważniejszych podjazdów na trasie – podjazd na „Górę Psarską”. Wysiłek rekompensowany jest ładnym widokiem na starą część Śremu. W Psarskim szlak prowadzi prosto obok przydrożnej figury do ulicy Platanowej, pozostawiając po prawej stronie zespół pałacowo-parkowy, mieszczący Dom Pomocy Społecznej. Wjeżdżamy na szosę i

kontynuujemy jazdę w kierunku widocznego z daleka masztu centrum nadawczego w Górze. Odtąd aż do Przylepek poruszamy się drogą asfaltową. Po około dwóch kilometrach wjeżdżamy do wsi Góra. Na początku wsi



mijamy wspomniane wcześniej centrum nadawcze. Jadąc dalej, za blokami mieszkalnymi, na skraju lasu po lewej stronie drogi docieramy do drewnianego krzyża z 1752 roku. Krzyż ten uważany jest za najstarszy krzyż przydrożny w Wielkopolsce. Nadal trzymamy się niebieskiego szlaku i po prawej stronie zostawiamy zespół pałacowo-parkowy z XVII wieku, na terenie którego obejrzeć możemy dwa pomnikowe dęby szypułkowe, okazałą lipę drobnolistną oraz kilka okazów drzew egzotycznych. Następnym punktem

na naszej trasie jest Jaskowo. W dawnych zabudowaniach folwarcznych znajduje się duży kompleks sportowo-rekreacyjny – Centrum Hippiki Jaskowo, prowadzony przez pana Chłapowskiego. Tuż obok znajduje się późnogotycki kościół św. Barbary z XV wieku. W starej plebani mieści się Izba Pamięci poświęcona Edwardowi Bojanowskiemu. Przy parku spotykamy zielony szlak rowerowy prowadzący do Krajkowa, my jednak jedziemy dalej szosą w kierunku Brodnicy. Teraz czeka nas podróż do Ludwikowa, najpierw lasem, a później wśród malowniczych pól. Z Ludwikowa już niedaleko do Przylepek. W zadrzewionej części wsi znajduje się park krajobrazowy z ciekawym dworem z około 1910 roku. Na skrzyżowaniu dróg kończy się szlak nie-



bieski, którym poruszaliśmy się do tej pory. Napotykamy tam czerwony szlak R-2 „Śladami Józefa Wybickiego”. Skracamy w lewo w stronę Manieczek i jedziemy drogą utwardzoną. Obok nowego cmentarza w Manieczkach zaczyna się droga asfaltowa i nią wjeżdżamy do wsi mijając popularnego „Kogucika”. Przecinamy szosę Śrem-Czempiń oraz tory kolejowe i zostawiając po lewej stronie park krajobrazowy, a na jego terenie kaplicę fundacji Józefa Wybickiego z 1786 roku i pałacyk z 1894 roku mieszczący muzeum poświęcone pamięci autora naszego hymnu narodowego, wyjeżdżamy z Manieczek w kierunku Krzyżanowa. Po minięciu niewielkiego lasu docieramy do skrzyżowania i zgodnie z biegiem szlaku skręcamy w lewo w nieco już podniszczoną drogę asfaltową.

Dalej jedziemy drogą biegnącą skrajem lasu i pól uprawnych. Pokonując drugi poważniejszy podjazd na trasie docieramy do Gaju. Nie wjeżdżamy w głąb wioski, lecz skręcamy w lewo w kierunku Jeziora Gajewskiego. Odtąd poruszamy się drogą polną. Po minięciu grobli jedziemy wzdłuż Zalewu Śremskiego, a następnie zapuszczamy się w niewielki las, po czym wyjeżdżamy na szosę biegnącą z Błociszewa do Śremu i skręcamy w lewo. Pokonując około 500 metrów na osiedlu Helenki skręcamy w prawo z głównej drogi w

ulicę Wyspiańskiego, a następnie po raz kolejny jedziemy w prawo ulicą Grottgera. Przy markecie „Biedronka” wjeżdżamy na ulicę Grunwaldzką i zmierzamy do zakończenia szlaku czerwonego na skrzyżowaniu

z ulicą Kilińskiego, gdzie także dobiega końca nasza wycieczka.

Sądzę, że zaproponowana przeze mnie trasa nie powinna sprawić Państwu większych trudności. Znajduje się na niej wiele punktów, w których można odpocząć, a przy okazji obejrzeć kilka ciekawych miejsc. Mam tu na myśli: Górę Psarską, z której rozciąga się panorama prawobrzeżnej części Śremu, pałac w Psarskim, krzyż przydrożny w Górze, Centrum Hippiki Jaskowo, zespół pałacowo-parkowy w Przylepkach i wreszcie „Kogucik” oraz Muzeum Józefa Wybickiego w Manieczkach. Życzę Państwu przyjemnej jazdy, dobrej pogody i wielu wrażeń na trasie.

Bartosz ŻELEŹNY

Igo Moś i jego zbiory

JULIUSZA SIENKIEWICZA WSPOMNIENIĄ CIĄG DAJSZY

Anna Błaszak: Skończyliśmy naszą rozmowę („Kłopoty z kultem” – Gazeta Śremska nr 3/2000) na Twoich powrotach do Obłęgorka. Także z Obłęgorkiem związana jest pośrednio postać twórcy Muzeum Sienkiewicza w Poznaniu Ignacego Mosia. Jak doszło do waszego spotkania?

Juliusz Sienkiewicz: Iga Mosia poznałem w pierwszych latach okupacji. Naszym majątkiem w Obłęgorku pod Kielcami administrował, wysiedlony spod Ostrzeszowa, ziemianin – pan Cybulski. Rodzina Mosiów, również wysiedlona z Ostrzeszowa, znalazła się w Kielcach. Krajanie szybko odnowili znajomości.

W początkach kontakty naszego domu z rodziną Mosiów były sporadyczne, z czasem stali się naszymi częstymi gośćmi.

A.B. Bardzo często Pan Moś podkreśla w rozmowach, że serdeczne kontakty z rodziną Sienkiewiczów nawiązał od 1944 roku.

J.S. W 1944 roku miało miejsce dramatyczne wydarzenie, które zacieśniło przyjaźń z Igo. Mój ojciec, za udowodnione kontakty z partyzantami, został aresztowany. Wyłoniła się możliwość wykupienia go z rąk gestapo. Chłopi z Obłęgorka złożyli pewną sumę. Pośrednikiem dostarczenia łapówki był Igo, który znał krawca (krajanie z Ostrzeszowa) obszywającego oficerów niemieckich. Igo do zebranej sumy dołożył złoty łańcuch i dwa cenne futra. Udało się! Ojciec został zwolniony. Te wydarzenia opisane nader lakonicznie kryły prawdziwe dramaty, warte osobnej publikacji. Za wyświadczoną przysługę rodzice chcieli ofiarować Igowi cenną srebrną tacę. Igo daru nie przy-

jął. Wtedy mój ojciec ofiarował naszemu dobroczyńcy unikalny, jubileuszowy egzemplarz „Quo vadis” z litografią Styki. W książce ojciec zamieścił dedykację: „Panu Ignacemu Mosiowi na pamiątkę ciężkich czasów wojennych z wyrazami wdzięczności za życzliwość okazaną naszej rodzinie w trudnościach i niebezpieczeństwach Henryk Józef Sienkiewicz Obłęgorek – 1 grudnia 1944”. Tego daru nie mógł nie przyjąć.

A.B. Możemy przyjąć, że był to moment, kiedy Sienkiewicz „wziął w jasyr” Mosia i rozpoczyna się gromadzenie pamiątek po pisarzu.

J.S. Do zbierania sienkiewiczianów od owej daty 1 grudnia 1944 roku droga była jeszcze daleka. Po wojnie Mosiowie i Cybulscy wrócili w stronę rodzinne. Igo Moś na stałe osiadł w Poznaniu, zajmując małe mieszkanie na ulicy Fredry pod numerem 2.

W tym mieszkaniu zaczęły piętrzyć się teczki z listami, fotografiami. Kąty zalegały stopy książek, dzieł Sienkiewicza, przełożone na niemal wszystkie języki świata. Ze ścian spoglądały portrety pisa-

rza lub obrazy ilustrujące jego utwory. Na konsolach popiersia lub rzeźby związane z jego twórczością. Gdy bywałem u Igo czułem się dość nieswojo: z każdego kąta spoglądał na mnie dziad, lustrując surowo krnąbrnego wnuka.

Trzeba było widzieć entuzjazm właściciela kolekcji, gdy chwalił się nowymi nabytkami, a przyznać należy, że zbiory są uspaniałe. Poza chyba kompletem przekładów dzieł Sienkiewicza na języki obce, poza rękopisami oraz niezliczonymi listami pisarza i pisańców do niego (szczególnie wzruszające są listy dzieci



dziękujących za ujęcie się ich doli w okowach bismarkowskich), poza zbiorem unikalnych zdjęć są prawdziwe rarytasy. To brudnopis listu otwartego do cesarza Niemiec w obronie Polaków pod jego zaborem, wspomniany memoriał Marii Radziewskiej, pamiętnik pierwszej narzeczonej Litwosa – Marii Kellerówny oraz jego do niej listy, przedziwny testament von Olszewskiego, wreszcie odlew pośmiertny twarzy i ręki autora Trylogii wykonany przez artystę rzeźbiarza Franciszka Blacka z Paryża. Dwa pokoki na Fredry „pekają w szwach”.

A.B. Dochodzimy do pomysłu udostępnienia zbiorów szerszej „publiczności”, wiem z opowiadań Pana Mosia, że propozycji miał wiele i decyzja była trudna.

J.S. Ignacy Moś chce przekazać bezcenną kolekcję narodowi. Pamiętam rozterki Iga – gdzie ulokować zbiory? Warszawa, w której pisarz mieszkał na stałe i gdzie spoczywają jego prochy, a także znajduje się grób ukochanej pierwszej żony Maryni, matki jego dzieci? Kraków, gdzie tak często przebywał, miał tylu przyjaciół i miłą sercu szwagierkę Dzięgę Janczewską „kochaną Dzię”? Zakopane wśród drogi mu tatrzańskich szczytów, gdzie lubił wieszać życie świątane? Czy Poznań? Ja zawsze (podobnie jak moja matka) byłem za Poznaniem. Argumentowałem: „Ty Igo jesteś z dziada, pradziada synem Wielkopolski. Początek twojej kolekcji to wieź Sienkiewicza z Księstwem Poznańskim. Tu znalazłeś najcenniejsze autografy. A poza tym, żadne miało tak nie doceni tego zbioru jak Poznań. No i ureszcie Skrzetuski był z Wielkopolski i został pochowany w Poznaniu”. Myślę, że moje argumenty leżały w intencji pana Mosia. I stało się! W Poznaniu, na Starym Rynku pod numerem 84, w trzyosiowej kamienicy z trzech kondygnacjach, od 10 czerwca 1978 roku mieści się Muzeum Literackie Henryka Sienkiewicza, jako filia Biblioteki Raczyńskich. Akt notarialny fundacji Ignacego Mosia na rzecz miasta Poznania został sporządzony z datą 5 października 1977 roku.

A.B. Minęły już 22 lata od otwarcia Muzeum.



J.S. Gdy tworzyło się muzeum byłem często używany przez Igo, który chciał zaczerpnąć mojej opinii, doboru bibelotów, obrazów, a potem wystaw czasowych i sesji naukowych. Byłem też prawie na każdej większej imprezie organizowanej przez muzeum.

Tu trzeba powiedzieć o pracownikach muzeum. Do pasji i ofiarności

honorowego kustosa dostroił się cały personel. Toż mimo tłumy zwiedzających nie ma bodaj miesiąca, by nie miała miejsca jakaś impreza, która staje się wydarzeniem w mieście. Kilkanaście wystaw czasowych rocznie, liczne sesje naukowe i dyskusje. Muzeum nie zamyka się w swoich murach, organizuje wystawy i prelekcje – to w Koninie, a to w Miłostawiu, Bełchatowie, Sreńmie, w ościennych województwach. Niemal wszystkie szkoły, a

jest ich kilkaset, noszące imię pisarza mają materiały w swych izbach pamięci z muzeum w Poznaniu. Prawdziwym skarbem dla placówki okazała się jej kierowniczka, starszy kustosz, mgr Anna Surzyńska-Błaszak. Z pozornym spokojem i opanowaniem prowadzi muzeum przez burze imprez, wystaw, licznych konsultacji i udostępnianie zbiorów.

Warto zaznaczyć, iż z trzech działających placówek muzealnych poświęconych pisarzowi (a znam je bardzo dobrze) właśnie sienkiewiczowskie muzeum w Poznaniu działa najprężniej i najdynamiczniej.

A.B. Dziękuję za rozmowę i słowa uznania dla pracowników Muzeum, nie wyobrażam sobie pracy w takiej placówce bez pasji i ofiarności (szczególnie mając kustosa honorowego Igo Mosia, który ma sto pomysłów na minutę).

FUNDACJA SIENKIEWICZOWSKA Warszawa



ZAPROSZENIE
Na odsłonięcie Pomnika
Henryka Sienkiewicza
ufundowanego przez
Janinę i Zbigniewa Porczyńskich.

**Łazienki Królewskie
w Warszawie,
dnia 5 maja 2000 roku.**

Foto:

1 – Juliusz Sienkiewicz i Igo Moś

2 – Juliusz Sienkiewicz z żoną Urszulą i córką Katarzyną (chrześniaczka p. Mosia) na wystawie „Quo vadis” w Poznaniu

W maju 1901 roku we Wrześni...

W 2001 roku minie kolejna, już setna rocznica słynnego protestu dzieci polskich we Wrześni. Ostatnio, na fali „europejskości” naszej polityki sprawy te znalazły się na marginesie. Nie sposób jednak zapomnieć o poświęceniu polskiej młodzieży, która choć ostatecznie poniosła klęskę, rozślawiła realia zaboru pruskiego daleko poza granice ziem polskich. Prawa upływu lat jednak wymagają spojrzenia z dystansu, spokojnego, bez emocji bardzo aktualnych jeszcze kilkanaście lat temu. Rzadko można spotkać w Wielkopolsce większe miasto, w którym nie byłoby ulicy dzieci wrzesińskich i Michała Drzymały, przed paroma laty na ekrany kin wszedł (niezbyt udany) film fabularny oparty na wydarzeniach we Wrześni („Wizja lokalna 1901”), od czasu do czasu przypominany w telewizji. Pozostaje problem realiów tamtego czasu i tamtych miejsc, a także ich aktualności. Sprawa nie jest prosta, łączy się, i to dość ściśle, z zakresem pojęcia patriotyzmu, którego znaczenie utrwaliło się w ubiegłym stuleciu. Poza tym wydarzenia wrzesińskie i epopeja Michała Drzymały są tak dynamiczne, a przy tym barwne i jednoznaczne w ocenie, że wszelka próba rzeczowego przedstawiania faktów i ocen łatwo może zdyskredytować badacza przeszłości w oczach słuchacza i czytelnika. W takich przypadkach rzeczywiście, trzeba mieć mocne przekonanie o słuszności własnych ustaleń i poczucie taktu, by z owego starcia prawdy historycznej z utrwalałymi wyobrażeniami wyjść zwycięsko.

Wydaje się, że w tej sytuacji najkorzystniej byłoby zacząć od przedstawienia tła wydarzeń. Faktem przełomowym w polityce władz wobec mniejszości narodowych stało się proklamowanie Cesarstwa Niemieckiego w styczniu 1871 roku. Kanclerz Otto von Bismarck, faktyczny twórca koncepcji tego państwa i duchowy przywódca, założył sobie teraz zjednoczenie moralne społeczeństwa i ukształtowanie w miarę jednolitej świadomości niemieckiej wśród mieszkańców wszystkich państw związkowych, które weszły w skład Cesarstwa. Było to zadanie znacznie trudniejsze od zjednoczenia politycznego i gospodar-

czego, wymagające przebudowy sposobu myślenia ludzi, ukształtowanego przez dziesiątki lat. Dodajmy, że wiek dziewiętnasty był okresem burzliwego kształtowania się patriotyzmu, świadomości narodowej – ale też nacjonalizmów, niekiedy w skrajnej formie przybierającej formę szowinizmu. To wtedy utrwaliły się dzisiejsze zasady pojmowania pojęć zdrady, patriotyzmu, bohaterstwa, lojalności politycznej i narodowej. Bismarck był człowiekiem walki, zwolennikiem posunięć zdecydowanych i jednoznacznych, nie zawsze liczył się z niuansami. Zatem już w początkach lat siedemdziesiątych energicznie przystąpił do realizacji założonego zadania.

Kraje, które na co dzień posługiwały się językiem niemieckim lub zbliżonym do niemieckiego, w założeniach Żelaznego Kanclerza nie powinny sprawiać kłopotu. Najpoważniejszym problemem było przełamanie oporu organizacji, które swoją centralę miały poza Cesarstwem, a także mniejszości narodowych. Trudności z góry zakładano ze strony kościoła katolickiego, który zawsze uznawał wyższość władzy papieskiej nad świecką w danym kraju. Opór spodziewany był ze strony dużej części Francuzów – mieszkańców Alzacji i Lotaryngii, Duńczyków zamieszkujących Szlezwik i Holsztyn, przede wszystkim zaś największej mniejszości narodowej: Polaków z ziem zagarniętych przez Prusy w latach 1772-1815.

Do 1878 roku w państwie Hohenzollernów toczył się tzw. kulturkampf – „walka o kulturę”, mająca w założeniach doprowadzić do podporządkowania Kościoła władzom berlińskim. Metody „siłowe” nawet dość brutalne, zastosowane wobec instytucji, która od stuleci ukształtowała sposób myślenia wierznych, mimo gwałtowności, nie doprowadziły do sukcesu. Wreszcie obydwie strony, wyczerpane konfliktem, zawarły porozumienie przeciwko wspólnemu wrogowi – socjalistom i zawarły swoisty, od dawna wypraktykowany sojusz tronu z ołtarzem. Na ziemiach polskich jednak pojawiło się zjawisko zupełnie nowe, dotychczas nie znane zwolennikom polityki germanizacyjnej: utożsamianie wiary z narodo-

wością. Ukształtowały się pojęcia: Polak – katolik, luteranin – Niemiec. W zaborze pruskim ludność polska szykanowanie księży odebrała jako atak skierowany przeciwko polskości. W rezultacie prestiż Kościoła nie został osłabiony, natomiast władze berlińskie polityką kulturkampfu umocniły polską świadomość narodową – o co już najmniej chodziło.

Konieczne było natychmiastowe przeciwdziałanie; musiała to być akcja systematyczna, stała, nie prowadzona jak dotąd, w zależności od aktualnej linii Berlina. Władze kościelne (w ramach zawartego porozumienia) zobowiązały się do wycofania księży z pracy społecznej i narodowej – czyniły to kierując najwybitniejszych duchownych – aktywistów (m.in. Piotra Wawrzyniaka i Augustyna Szamarzewskiego) na probostwa w parafiach, gdzie nawet obowiązków „szluzowych” uniemożliwiałby im działalność dodatkową. Trudniej było z przełamaniem oporu całej ludności wobec germanizacji. Tutaj administracja mogła jedynie stosować przymus bezpośredni, poprzez odpowiednie ustawy i rozporządzenia.

Po niepowodzeniu w kulturkampfie zaczęto stopniować naciski w urzędach i szkolnictwie. W 1876 roku ustalono język niemiecki jako jedyny w korespondencji i działalności urzędowej. W 1885 – zarządono przymusowe usunięcie wszystkich poddanych innych władców niż cesarza Wilhelma (tzw. pruskie razi); nawiasem mówiąc akcja ta, przeprowadzona wyjątkowo bezwzględnie, a niekiedy nawet brutalnie, spotkała się z oporem ze strony niektórych ziemian niemieckich, którzy stracili wtedy sporą część siły roboczej w swych majątkach.

W następnym, 1886 roku powstała Komisja Kolonizacyjna, której zadaniem było wykupywanie ziem z rąk polskich i kierowanie osadnictwem niemieckim na ziemiach wschodnich cesarstwa. Wkrótce pojawiły się dodatkowe rozporządzenia ułatwiające działalność urzędnikom niemieckim, którzy zdecydowałiby się na pracę w tych okolicach. Wreszcie rok 1894 przyniósł założenie osławionej Hakaty – skrajnie szowinistycznej organizacji, nie cofającej się w działaniu przed metodami brutalnymi, często spotykającymi się z dezaprobatą nawet środowisk niemieckich.

Szczególny nacisk jednak kierowano na oświatę, w znaczeniu dwukierunkowym: kształcenie nauczy-

cieli oraz ustalanie odpowiednich programów w szkołach. W 1882 roku usunięto język polski z nauczania religii i przy śpiewie kościelnym w szkole na Ratajach w Poznaniu; było to zarządzenie przeciwdziałające dalszej polonizacji Bąbrów w stolicy Wielkopolski. Wtedy też wystąpiły pierwsze protesty w szkołach. Kiedy w latach 1894-1908 nastąpił okres szczególnie nasilonej akcji germanizacyjnej, zarządzenia dotyczące szkolnictwa miały w niej swe ważne miejsce. Stopniowo, krok za krokiem, wprowadzono nauczanie kolejnych przedmiotów wyłącznie w języku niemieckim. I tu powtórzył się mechanizm zauważony w czasie kulturkampfu: dzieci i ich rodzice z niepokojem, ale tolerowały zjawisko rugowania języka polskiego z nauki w szkole – ale dopóki władze niemieckie nie przystąpiły do wprowadzania zmiany na lekcjach religii – już ostatnich, prowadzonych w języku polskim. Podobnie jak w czasie kulturkampfu nie chodziło tu władzom o walkę z samą wiarą, wychowanie religijne w całych Niemczech traktowane było jako ważny element edukacji moralnej. Moment starcia nastąpił wówczas, gdy w oczach polskiej społeczności katolicyzm został utożsamiony z polskością. I wtedy doszło do wielkiej fali strajków szkolnych, polegających na odmowie odpowiadania w języku niemieckim na lekcjach religii...

Protest objął szkoły nie tylko w Wielkopolsce, ale także na Pomorzu, Górnym Śląsku, Dolnym Śląsku i na Kaszubach – w regionach, które w przekonaniu administracji niemieckiej były już niemal całkowicie zgermanizowane. Dodajmy tutaj, że Niemcy mogli się spodziewać trudności, jako że jeszcze w 1883 roku w Jarocinie, gdy zamierzano przeprowadzić pokazową lekcję religii po niemiecku, dla nauczycieli zgromadzonych na konferencji powiatowej szkół ludowych, polskie dzieci gremialnie odmówiły odpowiadania w tym języku. W latach 1890-1892 doszło też do protestu dzieci w Osiecznej koło Leszna. Mimo tego doświadczenia, z zamiaru likwidacji nauki religii po polsku nie zrezygnowano. Decyzja wprowadzenia nauczania religii w języku niemieckim zapadła w 1900 roku, ale zaczęto ją realizować w chwili rozpoczęcia nowego roku szkolnego (w tamtych czasach było to w kwietniu) 1901/1902. Władze najwidoczniej spodziewały się oporu ze strony ludności polskiej, skoro decyzję tę określono jako poufną, zaś dzieci i ich ro-

wością. Ukształtowały się pojęcia: Polak – katolik, luteranin – Niemiec. W zaborze pruskim ludność polska szykanowanie księży odebrała jako atak skierowany przeciwko polskości. W rezultacie prestiż Kościoła nie został osłabiony, natomiast władze berlińskie polityką kulturkampfu umocniły polską świadomość narodową – o co już najmniej chodziło.

Konieczne było natychmiastowe przeciwdziałanie; musiała to być akcja systematyczna, stała, nie prowadzona jak dotąd, w zależności od aktualnej linii Berlina. Władze kościelne (w ramach zawartego porozumienia) zobowiązały się do wycofania księży z pracy społecznej i narodowej – czyniły to kierując najwybitniejszych duchownych – aktywistów (m.in. Piotra Wawrzyniaka i Augustyna Szamarzewskiego) na probostwa w parafiach, gdzie nawet obowiązków „szluzowych” uniemożliwiałby im działalność dodatkową. Trudniej było z przełamaniem oporu całej ludności wobec germanizacji. Tutaj administracja mogła jedynie stosować przymus bezpośredni, poprzez odpowiednie ustawy i rozporządzenia.

Po niepowodzeniu w kulturkampfie zaczęto stopniować naciski w urzędach i szkolnictwie. W 1876 roku ustalono język niemiecki jako jedyny w korespondencji i działalności urzędowej. W 1885 – zarządzone przymusowe usunięcie wszystkich poddanych innych władców niż cesarza Wilhelma (tzw. pruskie razi); nawiasem mówiąc akcja ta, przeprowadzona wyjątkowo bezwzględnie, a niekiedy nawet brutalnie, spotkała się z oporem ze strony niektórych ziemian niemieckich, którzy stracili wtedy sporą część siły roboczej w swych majątkach.

W następnym, 1886 roku powstała Komisja Kolonizacyjna, której zadaniem było wykupywanie ziem z rąk polskich i kierowanie osadnictwem niemieckim na ziemiach wschodnich cesarstwa. Wkrótce pojawiły się dodatkowe rozporządzenia ułatwiające działalność urzędnikom niemieckim, którzy zdecydowaliby się na pracę w tych okolicach. Wreszcie rok 1894 przyniósł założenie osławionej Hakaty – skrajnie szowinistycznej organizacji, nie cofającej się w działaniu przed metodami brutalnymi, często spotykającymi się z dezaprobatą nawet środowisk niemieckich.

Szczególny nacisk jednak kierowano na oświatę, w znaczeniu dwukierunkowym: kształcenie nauczy-

cieli oraz ustalanie odpowiednich programów w szkołach. W 1882 roku usunięto język polski z nauczania religii i przy śpiewie kościelnym w szkole na Ratajach w Poznaniu; było to zarządzenie przeciwdziałające dalszej polonizacji Bamberów w stolicy Wielkopolski. Wtedy też wystąpiły pierwsze protesty w szkołach. Kiedy w latach 1894-1908 nastąpił okres szczególnie nasilonej akcji germanizacyjnej, zarządzenia dotyczące szkolnictwa miały w niej swe ważne miejsce. Stopniowo, krok za krokiem, wprowadzono nauczanie kolejnych przedmiotów wyłącznie w języku niemieckim. I tu powtórzył się mechanizm zauważony w czasie kulturkampfu: dzieci i ich rodzice z niepokojem, ale tolerowały zjawisko rugowania języka polskiego z nauki w szkole – ale dopóki władze niemieckie nie przystąpiły do wprowadzania zmiany na lekcjach religii – już ostatnich, prowadzonych w języku polskim. Podobnie jak w czasie kulturkampfu nie chodziło tu władzom o walkę z samą wiarą, wychowanie religijne w całych Niemczech traktowane było jako ważny element edukacji moralnej. Moment starcia nastąpił wówczas, gdy w oczach polskiej społeczności katolicyzm został utożsamiony z polskością. I wtedy doszło do wielkiej fali strajków szkolnych, polegających na odmowie odpowiadania w języku niemieckim na lekcjach religii...

Protest objął szkoły nie tylko w Wielkopolsce, ale także na Pomorzu, Górnym Śląsku, Dolnym Śląsku i na Kaszubach – w regionach, które w przekonaniu administracji niemieckiej były już niemal całkowicie zgermanizowane. Dodajmy tutaj, że Niemcy mogli się spodziewać trudności, jako że jeszcze w 1883 roku w Jarocinie, gdy zamierzano przeprowadzić pokazową lekcję religii po niemiecku, dla nauczycieli zgromadzonych na konferencji powiatowej szkół ludowych, polskie dzieci gremialnie odmówiły odpowiadania w tym języku. W latach 1890-1892 doszło też do protestu dzieci w Osiecznej koło Leszna. Mimo tego doświadczenia, z zamiaru likwidacji nauki religii po polsku nie zrezygnowano. Decyzja wprowadzenia nauczania religii w języku niemieckim zapadła w 1900 roku, ale zaczęto ją realizować w chwili rozpoczęcia nowego roku szkolnego (w tamtych czasach było to w kwietniu) 1901/1902. Władze najwidoczniej spodziewały się oporu ze strony ludności polskiej, skoro decyzję tę określono jako poufną, zaś dzieci i ich ro-

dziców postawiono wobec faktu dokonanego. Wkrótce w wielu szkołach doszło do protestów uczniów, lecz największy rozgłos zyskały wydarzenia wrzesińskie z maja 1901 roku. Nie tyle z racji ich wyjątkowości, ile przebiegu.

Znane nam, liczne opisy tamtych wydarzeń opowiadają realiom historycznym. Wrzesnia była wtedy miasteczkiem zamieszkałym głównie przez biedotę, ale z silnie rozwiniętym rzemiosłem. Charakterystyczne były tu nastroje patriotyczne – być może wynikające z bliskości granicy z Królestwem Polskim i słabszych wpływów niemieckich organizacji nacjonalistycznych. Nic więc dziwnego, że gdy 1 kwietnia 1901 roku w miejscowej szkole religii i śpiewu kościelnego zaczęto uczyć po niemiecku, we Wrzesni zapanało poruszenie. Władze szkolne uzasadniały swą decyzję faktem wystarczającego już opanowania przez dzieci polskie języka niemieckiego. Względny spokój panował przez kilka kolejnych tygodni, gdy w szkole nie było jeszcze niemieckich podręczników do nauki religii i nauczyciele z konieczności zajęcia musieli ograniczyć do wykładu i ustnego repetytorium. Kiedy jednak książki te nadeszły i próbowano je rozdać w klasach, doszło do otwartego protestu uczniów. Dzieci odmawiały przyjęcia niemieckich podręczników i na lekcjach zaczęły odpowiadać po polsku, w ojczystym języku też odmawiały modlitwy. Należy tu zaznaczyć, że metody wychowawcze stosowane w ówczesnej szkole daleko odbiegały od obowiązujących dzisiaj, normalną karą za nieposłuszeństwo były chłosta, przetrzymywanie w areszcie szkolnym po lekcjach

itd. Nauczyciele wrzesińscy więc sięgnęli do tych środków. Najbardziej dostało się Bronisławie Śmidowiczównie i Stanisławowi Jerszyńskiemu, których uznano za przywódców protestu; 2 i 13 maja obydwójce zostali dotkliwie pobici przez pedagogów. Wkrótce wiadomość o tym dotarła do polskich działaczy narodowych, którzy na 15 maja zwołali do Wrzesni swój wiec protestacyjny z udziałem posłów do parlamentu: Antoniego Stychła, Zygmunta Dziembowskiego

o i Józefa Głębockiego. Protestującym aktywnego poparcia udzielał też miejscowy wikariusz, ks. Jan Łaskowski.

Władze jednak postanowiły użyć siły. Kulminacyjny moment wydarzeń wrzesińskich przypadł na 20-21 maja 1901 roku. Przybyły do szkoły inspektor powiatowy Winter, dał strajkującym dzieciom dwie godziny czasu na opanowanie w języku niemieckim jednej z pieśni religijnych. Część uczniów ustąpiła, pozostałych kilkunastu jednak pozostało w oporze oświadczając, że w ogóle nie będą uczyli się religii w języ-

ku niemieckim. Wówczas Winter zarządził chłostę dzieci, wymierzoną przez powszechnie znienawidzonego nauczyciela religii, Schölzchena. Krzyk bitych i widok śladów uderzeń na ciele uczniów spowodowały wielką falę oburzenia wśród mieszkańców Wrzesni, co niemal skończyło się samosądem na nauczycielach. Charakterystyczne były okrzyki wznoszone w trakcie tumultu, utożsamiające religię z narodem i językiem polskim. Nauczycieli szczególnie aktywnych w pacyfikowaniu strajku ochroniła jedynie asysta żandarmów.



Wkrótce do strajkujących dzieci wrzesińskich dołączyli uczniowie ze szkół m.in. w Miłosławiu, Pleszewie, Buku, Gostyniu i Krobii. Natomiast w samej Wrzesni protest przeciągnął się aż do lutego 1904 roku, gdy jeszcze troje dzieci odmawiało nauki religii w języku niemieckim; na początku roku szkolnego 1904/1905 strajk wygasł zupełnie. Dzieci przegrały.

Na tym jednak sprawa się nie skończyła. W dniach od 14 do 19 listopada 1901 roku w Gnieźnie odbył się proces rodziców dzieci z Wrzesni, szczególnie zaangażowanych w czasie zamieszek majowych. Większość z nich skazano na więzienie i grzywny, szczególnie ciężkie dla ludzi nie najwyższej sytuacji materialnej. Proces gnieźnieński stał się równocześnie trybuną dla głoszenia hasła obrony praw ludności polskiej zaboru pruskiego. Ten proces właśnie spowodował uruchomienie opinii publicznej w wszystkich trzech dzielnic, a także dotarł na łamy prasy francuskiej, angielskiej i rosyjskiej, które sprawę wrzesińską natychmiast wykorzystały dla ukazania prawdziwej twarzy germańskiego barbarzyństwa. Nie zapominajmy bowiem, że był to właśnie czas kształtowania się dwóch systemów politycznych, które w sierpniu 1914 roku stanęły naprzeciw siebie podczas I wojny światowej. Mniej tu chodziło o los bitych dzieci i skazanych rodziców – najważniejsza była okazja do ukazania negatywnej strony postępowania przyszłego przeciwnika. W sumie korzyść dla strony polskiej i tak była oczywista. Henryk Sienkiewicz (znany w świecie przede wszystkim jako autor „*Quo vadis*” i przyszły laureat Nagrody Nobla) ogłosił drukiem list otwarty w obronie mieszkańców Wrzesni, Maria Konopnicka napisała słynny wiersz „*Hasło*” – później rozślawiony jako „*Rota*”. Propagandowe znaczenie sprawy wrzesińskiej zostało też zauważone przez Niemców, którzy ukarali wysoką grzywną Szymona Furmanka, miejscowego fotografa, za rozpowszechnianie pocztówek-zdjęć wykonanych w czasie strajku szkolnego; rozeszły się one w liczbie 17 tysięcy egzemplarzy, co na owe czasy było nakładem ogromnym. To również było swoiste świadectwo zapotrzebowania chwili na wydarzenia, które w innym kraju i odmiennym czasie jedynie potraktowano by jako nieprzyjemny incydent. Konsekwencje udziału w strajku szkolnym były przykre i długofalowe: nagminnie stosowano przedłużenie obowiązkowej

nauki szkolnej, stosowano tzw. „wilczy bilet” wobec rodzeństwa uczestników strajku, zamierzającego się dalej kształcić, szykanowano też rodziców poszukujących pracy. Zdarzały się jednak sporadyczne przypadki poprawy położenia – właśnie na fali popularności osób związanych z wydarzeniami wrzesińskimi; np. Nepomucena Piasecka i Helena Bednarowicz dzięki temu uzyskały stałą pracę we Lwowie i w Zakopanem.

Ostatnie strajki szkolne w zaborze pruskim wygasły w 1907 roku; łącznie w proteście uczestniczyli uczniowie prawie 1100 szkół ludowych. Należy też zwrócić uwagę na swoisty rytuał strajkowy, jaki w tym czasie stosowany był w niemal wszystkich szkołach: najpierw była to próba wręczenia dzieciom niemieckich katechizmów i podręczników, i odmowa uczniów. Potem następowały pogroźki nauczycieli, ponowna odmowa uczniów i ogólna chłosta protestujących. Po lekcjach dzieci szły pod najbliższą kapliczkę lub krzyż misyjny w pobliżu kościoła, gdzie uczestniczyły w modlitwach i śpiewach religijnych. Wydarzenia te powtarzały się przez szereg kolejnych dni – o ile kierownik szkoły nie zarządził aresztu wobec strajkujących. Niezwykle emocjonalna atmosfera towarzysząca przebiegowi strajku, podtekst religijny, wielkie napięcie psychiczne wśród polskiej ludności jednak nie spowodowały zmiany metody władz administracyjnych. Nie zrezygnowano z metody siłowej, mimo że zwycięstwo osiągnięte nad strajkującymi dziećmi i ich rodzicami okupione było fatalną prasą i niekorzystną oceną niedawno utworzonego mocarstwa.

Dzieci wrzesińskie przegrały. W regionalnym muzeum we Wrzesni (zajmującym budynek historycznej szkoły) zrekonstruowano salkę klasową z początków naszego wieku, jak wspomnieliśmy na początku, nakręcono film fabularny oparty na wydarzeniach wielkopolskich. Jeszcze w początku lat osiemdziesiątych, w nowo wprowadzonym podręczniku do nauki historii dla klasy IV szkoły podstawowej zamieszczono rysunek przedstawiający demonicznego („bismarckopodobnego”) nauczyciela, z rozmachem okładającego kijem bezbronną dziewczynkę, lecz w następnym wydaniu książki ilustrację zmieniono; dziś byłaby już nie do pomyślenia.

Marek REZLER

Strajk szkolny

Aby zobrazować podłoże strajku szkolnego przedstawiliśmy kilka epizodów, które poprzedziły akcję germanizacji Polaków w zaborze pruskim. Rozebrawszy Polskę pod trzy obce zabory, Niemcy najaktywniej zabrali się do niszczenia Polaków.

Przed wszystkim wysyłano młodzież polską do odbywania służby wojskowej do zachodnich dzielnic Rzeszy. Jeśli takiego spotkało tam kalectwo, to zamiast renty zatrudniono go na niższym stanowisku urzędniczym i tym samym zrobiono z niego przysłowiowego kozła ofiarnego. Mniej uświadomionych Polaków werbowano do ciężkich prac w zagłębiach węglowych Westfalii i Nadrenii. Niemcy mieli z nich wyręczenie w swoich najtrudniejszych i najcięższych pracach. Jasno, że w takim otoczeniu musiał każdy przyłożyć się do władania językiem niemieckim. W Poznańskim poobsadzano urzędy Niemcami; szkoły nie tylko wyższe, ale i ludowe dostały władze niemieckie; po wsiach posadzano kolonistów, aby wymieszać ludzi. W szkołach w niższych klasach uczyli nauczyciele Polacy, a od trzeciej klasy mówiono do dzieci już tylko po niemiecku.

Germanizacja postępowała stale, aż zupełnie podstępnie w 1902 roku wydrukowano dla dzieci polskich książki w języku niemieckim, poczynając od katechizacji. Nie dowierzając Polakom, a równocześnie licząc się z nimi – brali bowiem pod uwagę powstania Polaków – nie wprowadzili równocześnie w całym zaborze akcji, a raczej tam, gdzie byli Polacy w przeważającym otoczeniu Niemców. W pierwszym roku wprowadzono naukę religii w języku niemieckim w zagłębiu węglowym na Śląsku i na Mazurach. Na Śląsku łatwiej im to przeszło, mimo że byli tam tacy wielcy Polacy jak poseł Korfanty, który stale upominał się w Sejmie pruskim o język polski w szkołach; Karol Miarka w Cieszynie drukował polskie gazety i elementarze – Gustaw Morcinek stawiał wówczas pierwsze kroki w karierze

pisarskiej. Tak podtrzymywano ducha polskiego na Śląsku, gdzie już się zakorzeniły władze niemieckie.

Na Mazurach Polacy zdawałoby się zniemczali, byli jednak gorliwymi w podtrzymywaniu polskości. Dziennik Olsztyński wydawany przez Toskę, a redagowany przez śremskiego Stanisława Nowakowskiego, patriotycznymi problemami i urządzanymi wiecami podtrzymywał ducha polskiego na Mazurach. Za to wyżej wymienieni panowie, kan-

dydowali w roku 1939 jako pierwsi do obozu w Oświęcimiu. Na Mazurach była duża przewaga Niemców – katolików, więc tam przeprowadzono akcję germanizacji bez głośniejszego echa.

Z kolei zabrano się za Poznańskie. Tutaj jednak patriotycznie nastawiona Września najpierw stawiała opór w roku 1906. Rodzice i dzieci stawiali opory najdłużej, co rozeszło się po wszystkich zakątkach ziemi, gdzie tylko byli Polacy.

Śrem wszedł na plan, czy jak teraz mówią na warsztat w roku 1907. Nowy rok szkolny był od Wielkanocy. Od razu poroządzano nam Katechizm i Historię Wiary w języku niemieckim. W Śremie zrobił się zamęt – po domach rodzice naradzali się i kazali dzieciom następnego dnia pooddawać książki w szkole. Przeróżne dzieci następnego dnia pokładały książki na brzegach stołów szkolnych. Nauczyciel pyta, co to ma znaczyć – w klasie grobowa cisza... Pyta pierwszego z brzegu, dlaczego te książki tutaj leżą? Ten odpowiedział, że rodzice kazali je pooddawać, bo my mamy swoje polskie książki. Wszystkim opornym kazano stać i czekać, aż ich zarejestrowano. Następnie zarządzono przychodzenie na odsiadki aresztu szkolnego na każde popołudnie. Stawialiśmy się – w tym czasie było nakazane milczenie pod nadzorem nauczyciela – nie było wolno wykonać zadań domowych czy robót ręcznych. Maciejewska Jadwiga, która siedziała w ostatniej ławce pisała... spostrzegł to nauczyciel – podchodząc pyta – co piszesz – odpowiedziała pieśni kościelne – uderzył ją dotkliwie w twarz.



Strajk szkolny

Aby zobrazować podłoże strajku szkolnego przedstawiliśmy kilka epizodów, które poprzedziły akcję germanizacji Polaków w zaborze pruskim. Rozebrawszy Polskę pod trzy obce zabory, Niemcy najaktywniej zabrali się do niszczenia Polaków.

Przed wszystkim wysyłano młodzież polską do odbywania służby wojskowej do zachodnich dzielnic Rzeszy. Jeśli takiego spotkało tam kalectwo, to zamiast renty zatrudniono go na niższym stanowisku urzędniczym i tym samym zrobiono z niego przysłowiowego kozła ofiarnego. Mniej uświadomionych Polaków werbowano do ciężkich prac w zagłębiach węglowych Westfalii i Nadrenii. Niemcy mieli z nich wyręczenie w swoich najtrudniejszych i najcięższych pracach. Jasno, że w takim otoczeniu musiał każdy przyłożyć się do władania językiem niemieckim. W Poznańskim poobsadzano urzędy Niemcami; szkoły nie tylko wyższe, ale i ludowe dostały władze niemieckie; po wsiach posadzano kolonistów, aby wymieszać ludzi. W szkołach w niższych klasach uczyli nauczyciele Polacy, a od trzeciej klasy mówiono do dzieci już tylko po niemiecku.

Germanizacja postępowała stale, aż zupełnie podstępnie w 1902 roku wydrukowano dla dzieci polskich książki w języku niemieckim, poczynając od katechizacji. Nie dowierzając Polakom, a równocześnie licząc się z nimi – brali bowiem pod uwagę powstania Polaków – nie wprowadzili równocześnie w całym zaborze akcji, a raczej tam, gdzie byli Polacy w przeważającym otoczeniu Niemców. W pierwszym roku wprowadzono naukę religii w języku niemieckim w zagłębiu węglowym na Śląsku i na Mazurach. Na Śląsku łatwiej im to przeszło, mimo że byli tam tacy wielcy Polacy jak poseł Korfanty, który stale upominał się w Sejmie pruskim o język polski w szkołach; Karol Miarka w Cieszynie drukował polskie gazety i elementarze – Gustaw Morcinek stawiał wówczas pierwsze kroki w karierze

pisarskiej. Tak podtrzymywano ducha polskiego na Śląsku, gdzie już się zakorzeniły władze niemieckie.

Na Mazurach Polacy zdawałoby się zniemczali, byli jednak gorliwymi w podtrzymywaniu polskości. Dziennik Olsztyński wydawany przez Toskę, a redagowany przez śremskiego Stanisława Nowakowskiego, patriotycznymi problemami i urządzanymi wiecami podtrzymywał ducha polskiego na Mazurach. Za to wyżej wymienieni panowie, kan-

dydowali w roku 1939 jako pierwsi do obozu w Oświęcimiu. Na Mazurach była duża przewaga Niemców – katolików, więc tam przeprowadzono akcję germanizacji bez głośniejszego echa.

Z kolei zabrano się za Poznańskie. Tutaj jednak patriotycznie nastawiona Września najpierw stawiała opór w roku 1906. Rodzice i dzieci stawiali opory najdłużej, co rozeszło się po wszystkich zakątkach ziemi, gdzie tylko byli Polacy.

Śrem wszedł na plan, czy jak teraz mówią na warsztat w roku 1907. Nowy rok szkolny był od Wielkanocy. Od razu porozdawano nam Katechizm i Historię Wiary w języku niemieckim. W Śremie zrobił się zamęt – po domach rodzice naradzali się i kazali dzieciom następnego dnia pooddawać książki w szkole. Przeróżne dzieci następnego dnia pokładały książki na brzegach stołów szkolnych. Nauczyciel pyta, co to ma znaczyć – w klasie grobowa cisza... Pyta pierwszego z brzegu, dlaczego te książki tutaj leżą? Ten odpowiedział, że rodzice kazali je pooddawać, bo my mamy swoje polskie książki. Wszystkim opornym kazano stać i czekać, aż ich zarejestrowano. Następnie zarządzono przychodzenie na odsiadki aresztu szkolnego na każde popołudnie. Stawialiśmy się – w tym czasie było nakazane milczenie pod nadzorem nauczyciela – nie było wolno wykonać zadań domowych czy robót ręcznych. Maciejewska Jadwiga, która siedziała w ostatniej ławce pisała... spostrzegł to nauczyciel – podchodząc pyta – co piszesz – odpowiedziała pieśni kościelne – uderzył ją dotkliwie w twarz.





W tym okresie sprowadzono z zachodnich rubieży Rzeszy dwóch dodatkowych nauczycieli Niemców, którzy mówili tylko po niemiecku. Niestety solidarność poczęła wygasać. Dzieci były męczone aresztami i coraz dopływały takie uczennice, które odbierały niemieckie książki – tłumacząc się przed nami, że np. ojciec jest urzędnikiem lub też pochodziły z małżeństw mieszanych – ojciec Niemiec lub odwrotnie.

W ten sposób stale zmniejszała się ilość strajkujących. Upłynął rok, więc zagrożono nam repetacją w tej klasie, a starszym, które miały być zwolnione ze szkoły, odmówiono zwolnienia i w ten sposób np. Wesołowska i inne chodziły pół roku dłużej do szkoły. Wyszło na to, że zabrakło miejsca w klasach i nie miano gdzie dzieci pomieścić, gdyż przybywały nowe. Ostatnich opornych i ich ojców stawiano przed sąd. Byłam z ojcem i młodszym bratem w sądzie. Tłumaczono ojcu, że ta garstka pozostałych już nie wygra nic, bo i w międzyczasie wyszło zarządzenie, że strajkujący nie będą przyjmowani do gimnazjum. Ojciec podtrzymał, że nauczanie religii w języku niemieckim jest za trudnym przedmiotem, aby takim dzieciom mogło być zrozumiałe w obcym języku. Sędzia odpowiedział, że od tego mamy księży. Z uwagi na przyszłość brata i wobec ogólnej kapitalacji, pokazano bowiem ojcu, że wszyscy już podpisali rezygnację ze strajku, ojciec mój jako przedostatni również podpisał.

Ta akcja trwała rok – była tym trudniejsza, że przeciwstawiono się zaborcom, którzy podkreślali swoje panowanie i władzę brutalnym rygiorem i uważali, że wszyscy powinni być tymi wiernymi poddanymi.

W Śremie jest jeszcze około 20 osób – uczestników strajku, w tym kilka, które uczestniczyły w innych miejscowościach. O Łaznowski posiada dowody archiwalne, które uratował w roku 1939 ze szkoły przed zagładą hitlerowską.

Halina ŚMIGIELSKA (1968 r.)

Lista

uczestników Strajku Szkolnego w latach 1906/7

L.p. Imię i nazwisko	Nazwisko panieńskie
1. Marian Kujawski	
2. Halina Śmigielka	Szczepska
3. Antonina Adamowicz	Grzembowska
4. Jadwiga Grochowina	Maciejewska
5. Jan Jurga	
6. Bolesław Jurga	
7. Maria Kulczyńska	
8. Wincenty Klaczyński	
9. Pelagia Kęsowa	Drożdżyńska
10. Franciszka Laferska	Michalak
11. Andrzej Łaznowski	
12. Władysława Miękus	Gawrońska
13. Franciszka Maciejewska	
14. Leon Maciejewski	
15. Aldona Pałkowska	Radomska
16. Stefan Raszewski	
17. Stanisława Rajewska	
18. Czesław Szubert	
19. Władysława Tarnawska	Chałupczak
20. Władysława Wesołowska	Staszewska
21. Maria Zawadzka	
22. Stanisław Zelba	
23. Jadwiga Ciesielska	
24. Maria Olszewska	
25. Maria Nowak	Szymaniak
26. Okupniak Maria	Zawadzka
27. Świątlik Teodora	Lesińska
28. Franciszek Zawadzki	
29. Moritz	Zenker
30. Maria Gałęcka	

Foto:

- uczestniczka strajku szkolnego – Halina Szczepska-Śmigielka, po lewej jej krewna – Wiktoria Koperska oraz pies Hektor (zdjęcie późniejsze)
- Halina Śmigielka

Pierwsze miesiące wolności cz. III

Poznań, 3.09.1945 r.

W nocy o trzeciej wyjechałam z Sulechowa do Poznania. Jechał również Pan Łempicki, który odniósł moje bagaże aż na ulicę Konopnickiej do domu babci Jabłońskiej. Ciocię Helę zastałam chorą, a wszyscy jeszcze bardzo schudli.

Podziwiałam Poznań. Bardzo się zmienił na korzyść od maja. Takich ruch. Moc eleganckich sklepów. Ludzie dobrze ubrani. W drodze spotkałam Andrzeja Michalskiego (z Podrzekty), który odprowadził mnie do Jurka Firleja. Upajałam się ruchem i tramwajami. Co to za cudowna rzecz. Niestety każdy oblepiony ludźmi, że trudno się dostać do wnętrza. Poznań liczy 310 tysięcy mieszkańców, czyli o 60 tysięcy więcej niż przed wojną. W operze (na szczęście nie zniszczonej przez wojnę) wciąż jeszcze wystawiają „Krakowiaków i górali” oraz „Rigoletto” Verdiego. Krakowiaków już cztery miesiące a Rigoletto trzy miesiące. Ludzi wciąż masa, że bardzo trudno dostać bilety. Tak samo w kinie. Bilety trzeba parę dni naprzód zamawiać.

Byłam naturalnie na ulicy Poznańskiej u Wujostwa Rzyckich. Ich piękne mieszkanie na Walach Zygmunta Starego zostało w czasie działań wojennych spalone, ale otrzymali naturalnie bez porównania gorsze na ulicy Poznańskiej. Widać jednak u nich już poprawę. Szyby w oknach wstawione, w wazonie nawet me ulubione gladiole, a kawa z plackiem i babką. Mieszka u nich od wojny ciocia Myszką Meyznerowa, bo najpierw Niemcy a potem rodacy wyrzucili ją z mężem z ich ziemi pod Trzemeszmem. Ciocia jest prawdziwą damą, a przy tym serdeczna i kochana. Marychna ładnie i poważnie wygląda. Jak zwykle pogodna i dobra. Wujek Karol był już w porządnym ubraniu, bo dotąd po spaleniu domu nad nimi na ulicy Szyperskiej (podczas walk w Poznaniu mieszkali wtedy trzy tygodnie w piwnicy) i stracie całego mizernego dobytku, miał tylko to co na sobie. Ciocia Zosia – siostra mego ojca – gościnnie i dzielna. Byłam

parę godzin u nich i bardzo zadowolona z tych odwiedzin wyszłam.

Poznań, Poznań! Jestem naprawdę pod jego urokiem. Jednak wielkie miasto – to wielkie miasto.

Śrem, 4.09.1945 r.

Tym pociągami, którym przyjechałam, odjechała od nas Krysia Nowakówna (nasza prymuska w Ostrowie). Była u nas cały dzień. Zwiedziła miasto, plażowała i jakimś z chłopcami pojechała aż pod Psarskie. Orzekła, że to był jej najmiłszy dzień wakacji. To mnie pocieszyło. Najważniejszym ewenementem w tym czasie były imieniny Mamy. Zmachałyśmy się wtedy jak dzikie osły. Wypadło primores. Upiekłam dużą blachę tortowych ciastek oraz sernik w tortowej formie, Frania placek z kruszonką.

Z gości byli: sędzia Ilnicki z żoną, państwo aptekarszowe Logowie, pani Muslewska oraz pani Malinowska z córką Irką, adwokat Bartz z żoną, pani Wilczkova i naturalnie nasz pan kapitan Gajewski. Podczas kolacji kapitan siedział między mną a Irą.

My młodzi poszliśmy do pokoju kapitana i bardzo się tam miło czuliśmy. Ale weszli nam starsi w paradę, bo kapitana wzięli do brydza. Poszliśmy więc wróżyć do saloniku, ale mecenas Bartz jak ten cień za nami chodził. Ira musiała parę razy kochliwemu mecenaskowi parę słów powiedzieć, bo za bardzo się rozwodził nad naszymi charakterami i zmianą mego uczesania. Nie lubię takich cynicznych, frywolnych typów. Powoli przeszliśmy wszyscy do stołowego pokoju. Mecenasa oznajmił, że zaśpiewa partię Mefista z Fausta Gounoda. Mimo jednak, że kapitan parę razy przegrał przygrywkę do tego, nie zaczynał, ale za to odtwarzał rolę maestra i dyrektora teatru. Podnosił i spuszczał niby kurtynę. Po kolei występowałyśmy w „La Scali”. Kapitan z kilkoma piosenkami: „Naprzód komendancie” i „Szumią jodły na gór szczycie”. Ja jako odpowiedź „Jak od wichru krzew połamany”, potem Mamusia śpiewała „Pieśń litewską”

Szopena i „Poranek” Leoncavalla. Było nastrojowo, bo tylko światło od radia widoczne rozpraszało mroki.

Pani sędzina Ilnicka zabawiała nas różnymi wesołymi „hecami”. Wszyscy bardzo się rozkręciliśmy i bawiliśmy się świetnie. Po odsunięciu dywanu tańczyliśmy. Nawet sędzia zapomniał o swej chorobie i kulawej nodze. Tatusz wyglądał bardzo elegancko: smukły, w czarnym wizytowym ubraniu, z białym goździkiem w klapie, prezentował się najlepiej z panów. Lubię też z nim tańczyć.

Dużo śmiechu wzbudził Frani kawaler, ordynans kapitana Urbański. O dwunastej w nocy przywędrował pijany do nas.

Wyciągnął z wozu czyjs bukiet ofiarowany Mamie i poszedł z nim winiszować solenizantce. Wszystkim paniom rączki ucałował i wygłosił parę mocnych zdań a propos naszej Ojczyzny. W ogóle był patriotycznie nastrojony i „wypłynął”. Można go było zauważyć, jak mgławicę błakającą się po nieboskłonie domu. Szukał Frani ... a biedaczka schroniła się przed nim aż do piwnicy i ciągle wytykała głowę czy go już nie ma. Ściągnęliśmy go z Irką ze schodów, bo aż tam się zaplątał, ale za chwilę znów był. Wzięłam kapitana i dopiero ten dał mu radę.

To były Maman imieniny naprawdę świetne. Rozeszli się goście o czwartej nad ranem, a myśmy jeszcze do piątej sprząтали i ... jedli bo człowiek był głodny jak wilk. Ciągłe wszystkich częstowaliśmy, a sami na te szlachetne czynności nie mieliśmy czasu.

Nic nie pisałam o pewnych odwiedzinach w tym dniu, w którym wyjechałam do Basi. Miał właśnie być wtedy w Nochowiu premier Mikołajczyk. A w ogóle zaplanowana uroczystość wręczenia sztandaru wojsku i miały być różne grube ryby.

A u nas otwiera się furtka w ogrodzie i z fantazją wchodzi grupa oficerów. Na przedzie mąż okazały w pelerynie z taką miną gęstą, że pomyślałam: Pewnie jaki

generał lub Bóg wie co. Zobaczyłam za nim śmiejącą się twarz Adama Nieniewskiego w czapce z otokiem czerwonym. Pomyślałam, że to pewnie jego adiutant. Zresztą dużo nie myślałam, bo na gwałt wciągałam możliwą suknię, żeby wyglądać po ludzku. W holu już słyszę głosy, wielkie witanie i całowanie. Była to cała familia Nieniewskich: majestatyczny Papa, Adam, Jurek, mały Wojtek (też w wojskowym płaszczu) i jeszcze jakiś ich towarzysz, a to był „marynarz” Józio Burzyński. Zaraz „wódzia” wyszła na światło dzienne, a Frania i Mama uwijały się nad zakąskami. „Marynarz” nic się nie zmienił. Od razu mi szeptał na ucho najnowsze nowiny. Jurek znów

natarczywie się pytał, czy go nie zdradziłam i dalej go kocham. Upewniłam go o tym solennie i zaraz pytałam o jego narzeczoną baronównę Soldenhof. Spoważniał i orzekł, że jest w Szkocji i tam na takich jak ja już patrzeć nie będzie chciała. Potem z Adamem wyszłam

przed werandę, aby z nim pogadać o Madzie Święcickiej, z którą ponoć był zaręczony.

Naprawdę szalona różnica między poznaniakami a nimi. Jak stworzeni do zabawy. Cały dom był od razu pełen. Byli u nas coś trzy czwarte godziny i odjechali do Poznania ciężarówką.

Stary Nieniawski był podczas wojny administratorem w majątku Jasień w Radomszczańskim, parę kilometrów od nas w Zakrzewie. Jego brat to generał Nienawski z RKU w Poznaniu. Był kolegą z wojska marszałka Żymierskiego i dzięki temu bardzo szybko awansował na generała (tak mówiono). Jest obecnie administratorem majątku wojskowego pod Gostyniem, a jego syn Adam znów w tym samym charakterze w Szlachcinie pod Owińskami. Jurek jest przy nim.

Nasz kapitan skwitował te odwiedziny u nas cierpko, że dekują się wspaniale. Jadąc do nas po drodze zabrali Józia Burzyńskiego z Dolska.



Poszłam pożegnać panią Wandę Wojciechowską. Przyszła też Irka Malinowska. Panią Wandę bardzo cenię. Lubię z nią rozmawiać o muzyce i literaturze. Roztrząsaliśmy poezję Przybosa, bardzo obecnie lansowanego w prasie. Pani Wanda czytała nam swój wiersz a la Przybós. Miałśmy z tego dużo uciechy, bo poezji Przybosa nikt normalnie nie może strawić. Za to niektórzy nowi pisarze bardzo się nam podobali, jak na przykład Tadeusz Jastrun (podobno to ma być nasz Tadek Jabłoński z przedwojennej pierwszej licealnej) czy Miłosz.

Przeżyliśmy 6, 7 i 8 emocje w Śremie. Podobno z powodu upałów zapalili się magazyn z amunicją w koszarach. Były takie detonacje (miny), że przypominałyśmy sobie niedawną wojnę. W pewnym momencie, po jednej specjalnie ciężkiej detonacji aż dom się zatrzęsł. Wybiegliśmy przed dom, na niebie płynęło koło z dymu. Bardzo to dziwnie wyglądało. Miało to być od miny. Wybuchy te trwały trzy dni. Milicja pilnowała ulic prowadzących do koszar i nikogo nie wpuszczała. Chodziły jednak po mieście wiadomości, że ogień dostał się już do podziemnego magazynu, a tam miały być bomby złożone jeszcze przez Niemców, gdy planowano w Śremie Lotnisko. Pytałam się potem o to kapitana, bo Jasiu z gimnazjum przyniósł tę wiadomość, że jakby ogień dostał się do tych bomb, to by całe Stare Miasto wyleciało w powietrze. On mi wtedy wytłumaczył, że sytuacja była bardzo poważna, bo nie było tam wprawdzie żadnych bomb zwyczajnych, ale za to gazowe. Wtedy wszystkich nas by wytruło. Szczęście, łaska Boża, że zdołano w końcu zapanować nad ogniem. Czy to tylko z upału, czy jakiś Niemiec podpalił, tego nie wiemy.

Dostałam opowiadanie Ksawerego Prószyńskiego pod tytułem „Trębacz z Samarkandy”. Opis zdarzenia bardzo ciekawego, gdy Armia Andersa była na Wschodzie i między innymi w Samarkandzie. Nasi żołnierze byli tam ogromnie serdecznie przyjmowani przez Uzbeków, Tadżyków i Kirgizów. Ich starsi pytali się naszych wojaków, czy są synami Lechistanu, czy wierzą w swego dawnego Boga i czy mają trębaczki. Na odpowiedź twierdzącą prosili, aby nasi trębaczki zatrąbili na ich starym rynku na wprost meczetu, w którym leżą prochy wielkiego Timura. Następnego dnia przed meczetem czerniał tłum, zbity, gęsty. Nawet przyległe ulice i bazyry były pełne. Tylko przed meczetem widniał pusty bruk. Tu stanęli nasi trębaczki i zagrali pobudkę wojskową, apel i hejnał mariacki. Tłum w milczeniu słuchał i w milczeniu się rozszedł. To było coś dziwnego. Żołnierze nasi zaczęli węszyć i najpierw przez kobiety a potem przez starców dowiedzieli się, że istnieje tam pewna legenda, czy proroctwo, dotyczące wspólnych spraw sprzed stu-

leci. Brali kiedyś udział wspólnie z Tatarami w najazdach na Polskę. Dopadli raz do miasta, które jak powiedział Uzbek jest dla was tym co dla nas Samarkanda. Stare i bogate, stolica kraju i miasto święte. Właśnie z jednego z minaretów tego miasta trąbiono na modlitwę. Zaledwie trębacz mógł zaalarmować miasto, gdy strzała z tatarskiego łuku przeszła mu gardło. Zginął, ale zaalarmowane miasto obroniło się. Tatarzy ponieśli klęskę. Legenda ta jest identyczna, jak nasza krakowska o lajoniku. Po powrocie na Wschód starszyzna ich i kapłani orzekli, że klęska, jaka spotkała plemiona mongolskie w dalekim Lechistanie była spowodowana karą nieba, za to, że w czasie gdy miasto zabierało się do modlitwy przzerwano znięciacko jego pacierze. I dodali jeszcze przepowiednie dla tych wszystkich ludów, które brały udział w wyprawie na Polskę: „Czyn wasz ześle na was karę nieba. Nie będziecie trawili cudzych ziem co wiosnę. Nie będziecie zdobywali nowych miast, królestwa wasze upadną... Jednak i dla was zabłyśnie słońce pomysłowości. Ale nie nastąpi to zanim trębacz z Lechistanu nie zatrąbi na rynku w Samarkandzie pieśni, której wtedy nie skończył.”

Jazda ze Śremu do Ostrowa 30.09.1945 r.

Wakacje raz musiały się skończyć. Frania, która pomogła nieść mi bagaże na dworzec obiecała napisać szczegółowo o Don Juanie (kapitanie) i o jego ordynansie.

Wylądowałam coś przed trzynastą przed południem w Jarocinie. Że owszem o 13.10 jest połączenie do Ostrowa, ale od 3-14.09.45 pewną liczbę pociągów wycofano z powodu ruchu wojsk, a mój pociąg przychodzi dopiero o 23-ciej wieczorem. Naturalnie prawdopodobnie z parogodzinnym opóźnieniem. Usiadłam na walizce z pobożnym zamiarem, aby wsiąść na pierwszy lepszy transport wojskowy czy towarowy, bo 11 godzina w nocy i to spóźnienie nie podobało mi się zupełnie. Siedziałam i obserwowałam to całkiem barwne życie na peronie. Na dworcu stał transport Ukraińców do Rosji. Musiał stać już długo, bo kobiety roznieciły sobie ognisko przy wagonach i gotowały obiad, inne znów pod pompą kolejową prały bieliznę. Jeszcze inne znów kręciły się i plotkowały. Zawsze w moich jazdach widzę dużo Francuzów w drodze do ich ojczyzny. Wiele też naszych kochanych oficerów i żołnierzy z Oflagów i Stalagów z Niemiec. Ciekawam, czy kiedyś spotkam się z moimi „synami”, którym przez wojnę wysyłałam paczki i listy. Obserwowałam ten tłum, pociągi przejeżdżające i znów dalej ruszające, a ja nic – siedzę. Żadnej znajomej duszy, która skróciłaby moje czekanie. Podpadł mi jeden młody oficer z rozpylaczem przez plecy. Czasami zniknął mi z oczu, ale znów zjawiał się na horyzoncie, a ja oddychałam z ulgą.

Zacząłem rysować dworzec i profil tego oficera. Zapomniałam, jakie miał czoło, więc wstałam i rozglądałam się. Siedział na platformie bagażowej i bimbał znudzenie nogami. Teraz on dla odmiany zaczął się przechadzać po peronie, podszedł do mnie i spytał: „Pani dokąd?” Odpowiedziałam, że do Ostrowa. A Pan? Do Wrocławia. Zdziwił się, że jadę ze Śremu i mnie tam na dworcze nie zauważył. A był w tym mieście na urlopie. I się okazało, że mój Śremita chodził razem ze mną do gimnazjum, tylko ja do pierwszej gimnazjalnej a on do pierwszej licealnej. Jednym słowem Tadek Dąbrowski, brat Bożeny, z którą chodziłam do pani Wandy Wojciechowskiej na lekcje fortepianu, a syn naszego przedwojennego burmistrza rozstrzelanego 20.10.1939 roku na rynku w Śremie.

Mój pociąg o 15-tej do Krotoszyna nie przyszedł. Chciałam przez Krotoszyn udać się do Ostrowa. Nie pojechał podobno z powodu strzelaniny w Krzyżu między żołnierzami polskimi i rosyjskimi. Następny miał być o 18-tej. Nareszcie znaleźliśmy się w pociągu w puściuteńskim przedziale. Okazało się, że byliśmy w tym samym lagrze na Główniej w Poznaniu i razem jechaliśmy transportem do Tarnobrzega. Tam ulokowaliśmy nas w tej samej szkole przy klasztorze Dominikanów. Tak jadąc pociągiem obgadaliśmy wszystko i wszystkich na szaro. Tadek przeszedł cały szlak od Wisły aż po Berlin. Nad Nysą 50% jego pułku wyginęło. Był ranny. Pytałam się jakie uczucie, czy można „przyzwyczaić się” do zabijania. Można, ale to straszne: jeden krzyczy, drugi dogorywa, prosi o litość, a tu litości nie ma. Tylko między oczy go trach. Zabijałem, miałem się za co mścić, wszak ojca mojego na rynku zabili mi wtedy... Pamiętasz?... Ale teraz budzę się czasem w nocy dygocąc. Te twarze ludzi, których sam... stają mi przed oczyma. I strach...

Onajmiał mi, że prędko się ożeni, za rok już na pewno. Wywiązała się polemika gorąca, bo odwodziłam go od tego zamiaru. Kiedy studia, a kiedy się czymś konkretnym zajmie, zapewni egzystencję? Zresztą młodość jest na zabawę i naukę bo potem już twardy kierat.

Już zbliżamy się do Krotoszyna, a Tadek wynalazł wyjście - „Wiesz co jedź ze mną, mam trzypokojowe mieszkanie - tu wymienię miejscowość w górach na Dolnym Śląsku - śliczna okolica. Polujemy na kozice, zbieram szarotki.” Parsknęłam śmiechem na te szarotki i schylające się po nie z rewolwerem i rozpylaczem ręce Tadek. Pomógł mi jeszcze wyładować bagaże. Wymieniliśmy adresy i ucisnęliśmy sobie po koleżeńsku dłonie. Potem ruszył dalej na Wrocław, a ja zostałam znów sama w nieznanym mieście. Było kompletnie ciemno. Zostawiłam bagaż na dworcu. Postanowiłam, że pojadę rannym po-

ciągiem do Ostrowa, bo ten mój o 21-szej był mocno problematyczny. Wspominałam na opowiadanie Mamy o jej rodzinnym mieście i przypomniałam sobie opowiadanie o doktorze Boleskim, którego córkę Danusię poznałam u Święckich w Smotryszewie. Doktor Boleski leczył niegdyś całą rodzinę Mamy oraz bardzo się zasłużył przy organizowaniu Powstania w 1918 roku. Chyba mnie u siebie przenocuje ze względu na tak stare znajomości oraz córkę Danusię. Z dworca szłam razem z ludźmi bardzo ładną aleją. Znowu westchnęłam do Siostry Potockiej o pomoc w tych moich planach. Przede mną stał człowiek z wózkiem. Spytałam o ulicę Klonowicza. I szczęśliwy zbieg okoliczności, mieszkał na tej samej ulicy, dom za willą doktora. Znał też rodzinę mych dziadków Jabłońskich. Tam były trzy córki, ale najładniejsza była Marysia, powiedział. To właśnie moja matka, oświadczyłam z dumą.

Zauważyłam, że Krotoszyn to śliczne miasto, większe od Śremu. Dużo ładnych budynków. Rynek taki duży. Nareszcie ulica Klonowicza. Zadzwoiłam i prosiłam doktora o nocleg, powołując się naturalnie na rodzinę Mamy. Córka jego Danusia leżała już w łóżku. Ma ślicznego Bechsteina w pokoju. W ogóle meble, fortepian, porcelana cały dom - komfort. Z Danusią nie mogłam się nagadać, więc przeniosła się do mojego pokoju na piętrze. Okazało się, że mamy dużo wspólnych znajomych. Postanowiłyśmy, że pójdziemy jutro razem odwiedzić Myszczorkówny. Obudziła mnie rano służąca ze śniadaniem do łóżka, a jakże. Szybko się ubrałam i podziękowałam za gościnę i poszłam szukać Krysi i Hani Myszczorkówn. Znowu się pięknie przedstawiłam jako siostra Basi, z którą razem z Basią mieszkaliśmy u państwa Olejniczaków w Warszawie. Zapachniało mymi warszawskimi przyjaciółmi. Jednak poznaniacy, którzy podczas wojny tam byli, przesiakli tym specyficznym sposobem wystawiania się, życia Warszawy. Posypały się nazwiska. Dzwonek. Wchodzi Jurek Olejniczak. Ojciec jego, pochodzący z Krotoszyna, był przed wojną dyrektorem banku we Warszawie. Państwo Olejniczakowie po Powstaniu Warszawskim znaleźli się we Wrocławiu. Dostali tam willę z ogrodem. Jurek ma tam chodzić na uniwersytet. A jego ojciec jest tam dyrektorem finansowym Pafawagu. Krysia Myszczorkówna studiuje na uniwerku w Łodzi, na chemii. Hania wyszła za mąż za profesora Szmęję, laryngologa w Poznaniu. Wysłałam godzinę wcześniej niż potrzebowałam, bo niech sobie Krysia z Jurkiem pogadają. Pociąg naturalnie miał spóźnienie tak, że coś przed 15-tą dzwoniłam dopiero do babci w Ostrowie. Tak więc podróż ze Śremu do Ostrowa trwała około trzydziestu godzin.

Bogna MIERZEJEWSKA

Śleza

„Dawno, dawno temu w miejscu dzisiejszej Ślezy znajdowało się wejście do piekła, przy którym wznosiły się dwie góry zwane dziś Radunią i Gozdnicą. Pewnego razu Gozdnicę, zwaną do niedawna Górą Anielską, zajął hufiec aniołów i zaatakował siły diabelskie strzegące wejścia do piekła na Raduni, zwanej do niedawna Sępią Górą. Zacięta walka odbywała się przy użyciu bloków skalnych, które jednak spadały w połowie drogi i nie tylko zasypały wrota piekielne, ale utworzyły ogromną górę, nazywaną później Ślezą. Zrozpaczony czarci przywódca Lucyfer tupnął kopcem w ziemię i powstała przełęcz Tapadła oraz rzucił w kierunku aniołów dwie potężne skały, ale i one nie doleciały do celu, tworząc obecne góry Wieżycę i Stolną. Od tej pory diabły nasyłają na Ślezę burze i pioruny w nadziei, że góra rozpadnie się i otworzy wrota piekieł”.

Na początku października tego roku wybrałem się ze znajomymi na wędrowną po Przedgórzu Sudeckim i przy okazji odwiedziliśmy „Śląski Olimp” – Ślezę.

Masyw Ślezy jest najwyższym pasmem górskim Przedgórza Sudeckiego i nie ma sobie równych co do wysokości w pasie Niżu Wschodnioeuropejskiego (od Sudetów do Uralu), ma także wyjątkową sławę. Ślezę bardzo często otaczają mgły i chmury, a okoliczna ludność uważała górę za siedlisko bogów. Miotane przez nich w czasie burzy pioruny wywoływały powszechną grozę. Na cześć bogów, bądź w celu ich przebłagania, składano na tej górze ofiary, odbywały się różne obrzędy i praktyki religijne. W czasie najkrótszej nocy czerwcowej szczególnie uroczyste palono ogień na cześć boga Słońca, który to obrzęd przetrwał na Śleży do końca XVIII w.

W bliskim sąsiedztwie Ślezy oraz na jej zboczach i szczytach, znajdują się prymitywne rzeźby granitowe. Większość tych rzeźb spotykamy na trasie prowadzącej przez Ślezę. Są to lew i grzyb stojący przed kościołem św. Anny w Sobótce; lew wmurowany w ścianę kościoła św. Jakuba Starszego w Sobótce; mnich stojący samotnie za miastem, przy drodze do DW „Pod Wieżycą”; niedźwiedź i panna z rybą (postać niewieścia trzymająca na piersiach dużą rybę); niedźwiedź zwany także dzikiem, na szczycie Ślezy, w pobliżu kościoła.

Wszystkie te rzeźby wykonane zostały z miejscowego granitu. Ciekawość budzą tajemnicze znaki „X” wyrzeźbione na rzeźbach. Nie ma ich tylko na lwach. Do lat pięćdziesią-

tych XX w. uważano je za znaki graniczące między posiadłościami księcia i zakonu. Znaleźnienie tych znaków w kilku miejscach także na skałach zboczy Ślezy, przyczyniło się do wyjaśnienia pochodzenia zarówno rzeźb jak i znaków. Najnowsze badania stwierdziły, że rzeźby ze znakami „X” są najstarsze i pochodzą z okresu kultury lużyckiej (1300-400 lat p.n.e.). Znaki „X” są symbolem Słońca, boga czczono przez wiele ludów starożytnych. Podobną cztą otaczano przez długie wieki również zwierzęta, np. niedźwiedzie, ryby. Rzeźba wyobrażająca postać niewieści z rybą (panna z rybą) uważana jest dzisiaj za ówczesne wyobrażenie bóstwa płodności. Widać tu wpływ kultury Scytów i Celtów, u których rozwinęty był kult ryby.

Ze starych dokumentów wynika, że w połowie XIII w. na szczycie Ślezy istniał zamek książęcy. Rezydowali w nim mianowani przez księcia kasztelanowie. W 1428 r. zamek został opanowany przez czeskie oddziały husyckie, które walczyły przeciw feudałom śląskim oraz patrycjatowi miejskiemu Wrocławia i Świdnicy. Mimo pomocy powstańców polskich, husyci zostali przez mieszczan wypędzeni, a zamek częściowo zburzony. Pozostała wieża, która w 1543 r. zawałowała się na skutek uderzenia pioruna. Obok kościoła, wybudowanego w latach 1851-52, można oglądać dziś jedynie pozostałości zamkowych fundamentów.

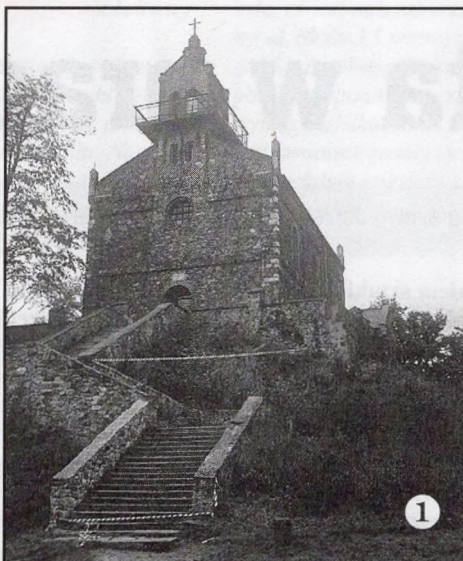
Wielkie wały kamienne, istniejące zarówno na zboczu Ślezy od strony pn., jak również na sąsiednich gorach: Raduni i Wieżycy, są zwane kęgami kultowymi, którymi otaczano miejsca święte. Pochodzą one z lat 1300-400 p.n.e. Poza kęgami znajdowały się „święte źródła”, które prawdopodobnie służyły do dokonywania ablucji przed wkroczeniem do kęgu lub przed rozpoczęciem obrzędów kultowych.

Z rzeźbami na Śleży wiążą się pewne tajemnicze historie. Otóż niedaleko Skalne Brama jeszcze dwa wieki temu wśród drzew straszył kamienny wilk. Wiązała się z nim stara opowieść. Otóż, kiedy Śląsk pokrywały wyłącznie lasy, mnich z klasztoru na Śleży musiał zejść do Maniowa. Zima była mroźna zwierzęta rozpaczliwie szukały jedzenia. W lesie, tuż u stóp góry, na zakonnika napadł głodny wilk. Mnich miał do obrony tylko nóż, zaczął więc rozpaczliwie uderzać nim w zwierzę. Równocześnie uciekał w kierunku Garnarka. Dobiegł do Wojnarowic i oddał ducha. Na pamiątkę jego bohaterstwa postawiono w tym miejscu ka-

mienną figurę zwaną później „mni-chem”. Niedaleko padł poraniony wilk. Jeszcze w XVIII wieku można było oglądać przypominającą go rzeźbę. Wilk nazwany dziś „lwem”, został wmurowany obok kościoła Św. Anny w Sobótce.

Inną słynną tajemniczą rzeźbą jest panna z rybą. Figura ta stoi przy drodze prowadzącej na szczyt Ślęzy. Niegdyś wierzono, że to postać dziewczyny, która wiele, wiele wieków temu mieszkała w potężnym zamku na szczycie góry. Pani zamku wysłała dziewczynę do miasta po ryby dla niedźwiedzia. Pewnego razu, gdy panna wracała na górę, miś wydostał się z ogrodu, w którym go trzymano i zastąpił służącą drogę. Ta wyciągnęła z kosza rybę, pomachała nią niedźwiedziowi przed nosem, a potem schowała jedzenie. Tak to rozwścieczyło zwierzę, że rzuciło się na kobietę, odgryzło jej głowę i uciekło. Od tej pory słuch po nim zaginął, a na pamiątkę tej historii pani zamku kała wystawić figurę bezgłowej dziewczyny z rybą.

Wędrując po Sobótce i Ślęzy pamiętajcie o tych historiach. Pamiętajcie także, że najbliższa dziewczyna, jaką spotkacie w okolicy, może być zaklętą księżniczką, którą wieki temu zły czarodziej skazał na potępienie. Jeżeli dziewczyna zacznie nagle zmieniać się w smoka, żmiję lub innego potwora, nie



bójcie się. Jeżeli wytrzymacie ten widok, z panny spadnie kłątwa, a o Was będą opowiadać w Sobótce przez kolejne kilka wieków.

Proponuję także, wytrwałym turystom, aby schodząc ze Ślęzy, odwiedzili Sanktuarium Ślęzańskiej Matki Bożej Dobrej Rady w Sulistrowickach. Piękna świątynia ze ślicznym wnętrzem, wkomponowana została w pejzaż górski przypominający krajobraz beskidzki.

Feliks KRÓLIKOWSKI

Literatura:

Włodzimierz Koszarski, Bartłomiej Ranowicz: *SUDETY – Sudety Środkowe – część zachodnia i Przedgórze Sudeckie*, Sport i Turystyka, W-wa 1982r.

Ryszard Chanas: *Ślęza, Śląski Olimp, przewodnik*, Sport i Turystyka, W-wa 1985r.

Joanna Lamparska: *Tajemnice, Zamki, Podziemia, przewodnik jakiego nie było*, wyd. ASIA PRESS S.C., Wrocław 1999 r., wydanie II poprawione.



Fotografie:

1. Kościół Najświętszej Panny Marii na szczycie Ślęzy.
2. Starożytna rzeźba kultowa „niedźwiedź” pod starym jaworem obok kościoła.
3. Sanktuarium Ślęzańskiej Matki Bożej Dobrej Rady w Sulistrowickach.

Wizyta w pracowni

Gazeta Śremska gościła w pracowni Jerzego Jurgi, skąd pochodzą fotografie zamieszczone na okładce.

Jerzy Jurga jest historykiem sztuki zajmującym się obok malarstwa konstruowaniem kusz. Uważa on, że zajmowanie się równolegle czystą twórczością i artystycznym rzemiosłem tworzy harmonijne połączenie. Jego fascynacje kuszami mają 2 źródła. Pierwszym jest piękna forma, w której połączone są ze sobą różnorodne, czasami szlachetne materiały (stal, drewno, kość, sznur), drugie stanowi siła potencjalnie drżająca w kuszy. Kusza – przedmiot niewątpliwie wyrafinowany, delikatny na pierwszy rzut oka – myli pozorną łagodnością maskując tkwiącą w niej siłę. Każda wykonana przez Jurgę kusza jest wynikiem dogłębnych studiów opartych zarówno na literaturze jak też na analizie egzemplarzy znajdujących się w muzeach. Znajomość tematyki, liczne podróże artysty pozwoliły mu na odkrycie istotnych cech poszczególnych typów kusz. Znamiona te bez względu na obszar występowania (wytworzenia lub użytkowania) są do siebie podobne. Ten wyznawany przez Jurgę pogląd dowodzi szerokiej wymiany myśli technicznej na terenie Europy od średniowiecza do renesansu.

Kusze Jerzego Jurgi, według opinii znawców, są obiektami wysokiej klasy i nie ustępują pierwowzorom znajdującym się w zbiorach muzealnych i kolekcjach prywatnych. W naszej muzealnej kolekcji znajdują się:

- Myśliwska kusza napinana lewarem kołowym. Stosowana w XVI i XVII w.
- Kusza tarczowo myśliwska napinana drewnianą dźwignią. Stosowana w XVII – XVI w.
- Belgijska kusza tarczowa napinana dźwignią metalową. Stosowana w XIX i XX w.
- Myśliwska kusza z łukiem kompozytowym.
- Bojowa kusza napinana „kozią nogą”.
- Myśliwska kusza strzelająca kulkami.

Wypowiedź Jerzego Jurgi dla Gazety Śremskiej podczas prezentacji balisty.

Po moich doświadczeniach z kuszami postanowiłem zabrać się za rzecz gabarytowo większą. Zdawałem sobie sprawę z trudności, na które napotkam wykonując maszynę miotającą – balistę w oparciu o dość skąpe źródła. Machina miotająca, której budowę kończę, to machina wałowa – zaliczana do balist. Pomiń, że robi imponujące wrażenie, w porównaniu z ogromnymi maszynami, które były wykonywane za czasów imperium rzymskiego (gdzie ich waga dochodziła do 18 ton a miały pociski 50 kg) moja machina jest dość skromna. Niemniej podobne były w użyciu przez wojska rzymskie oraz stosowano je w średniowieczu.

W pracy opierałem się na dostępnej literaturze. Przede wszystkim na fundamentalnym dziele: „THE CROSSBOW – Sir Ralph Payne-Gallwey” oraz na dziele rzymskiego architekta Witruwiusza działającego w ostatnim stuleciu p.n.e. będącego na usługach Gajusza Juliusza Cezara. Był to architekt, który stworzył znako-

mite dzieło „O architekturze ksiąg dziesięć”, gdzie jeden rozdział poświęcił budowie balist, katapult i innych machin miotających. Oparłem się również na dziele Roberta M. Jurgi: „Machiny wojenne”.

Machiny wojenne dzielą się na:

– barobalistyczne (tzn. działające na zasadzie przeciwwagi ciężaru)

– neurobalistyczne (wykorzystują sprężystość lin kręconych z włosów kobiecych, włosia końskiego lub lnu).

Niektóre z tych machin osiągnęły imponujące rozmiary i wagę dochodzącą do 18 ton i kilkunastu metrów wysokości. Donośność strzału w zależności od wagi pocisku wahała się od 100 m (ciężar pocisku ok. 100 kg) – do prawie 700 m (przy wadze pocisku ok. 1 kg). Według Witruwiusza wszystkie te maszyny budowane były wg określonych proporcji. Wyznacznikiem modułu była liczba 1/9 długości strzały, którą miała ta kusza miotać. Liczba 1/9 był to jeden moduł, a wszystkie elementy balisty były jego zwielokrotnieniem. W moim przy-

padku jest nią liczba 8 cm, ponieważ długość belty wynosi 72 cm.

Pierwszym problemem, który należało pokonać to problem drewna. Udało mi się uzyskać belki dębowe. Własności dębu, jego twardość i odporność na wilgoć skłaniały mnie do wyboru tego materiału. Następny problem to metal. Ponieważ użyłem żelaza a nie stopu brązu stosowanego przez Rzymian. Wszystkie metalowe części zostały odpowiednio dopasowane, a ich wielkości wynikające z proporcji są wynikiem funkcji, które mają spełniać. A należy pamiętać, że działające siły w balistie są ogromne. Wielki problem następnym dobór lin sprężystych, w których umocowane zostały łuczyska, bo to wpływa na donośność balisty. Eksperymenty z linką lnianą dowiodły, że jest to materiał mało sprężysty. W związku z tym została zastosowana lina wykonana z włosów końskich ogonów. Prawidłowe funkcjonowanie i celność zależy od dokładnego zestrojenia

ze sobą obydwu wiązek skręconych strun, zwanych po grecku tonos (stąd pochodzi określenie „ton” w muzyce). Bardzo skomplikowaną sprawą jest napinanie strunów (tonów), ponieważ prawa i lewa strona musi być idealnie równa. Dlatego też, ich napięcie bada się za pomocą kamertonu (Witruwiusz wspomina, że obsługujący balistę muszą mieć bardzo dobry słuch). Każda różnica w naprężeniu tonu, który ma grubość 8 cm (1 moduł) powoduje, że pocisk będzie zbacał w prawo lub w lewo. Celowanie odbywa się na wyczucie, ale starożytni posługiwali się uproszczonymi tablicami trygonometrycznymi. Na razie nie znam donośności mojej maszyny, ponieważ strzelań plenerowych jeszcze nie

było, co jest naturalne ze względu na gabaryty maszyny: dł. około 2,5 metra, wysokość 1,60 metra, waga ok. 300 kg. Do obsługi balisty potrzebnych jest dwóch ludzi, ponieważ pomimo przełożeń korbowych, napinanie wymaga wielkiej siły i wprawy. Cała maszyna jest bardzo starannie zabezpieczona przed wilgocią za pomocą specjalnej mikstury ze smoły i terpentyny. Ton również zabezpieczony jest przed wilgocią za pomocą oleju kopytkowego, który sam wyprodukowałem. Kiedy za-

czyniałem pracę we wrześniu ubiegłego roku nie zdawałem sobie sprawy jak mozolne i trudne będzie to przedsięwzięcie. Ale myślę, że efekt końcowy będzie zadawalający.

Fragmenty maszyn, które dochowały się do naszych czasów, i liczne, choć niepełne i częściowo niezrozumiałe, opisy konstrukcyjne starożytnych pisarzy stanowiły zachętę dla badaczy do podjęcia prób odtworzenia balist. Najbardziej udane

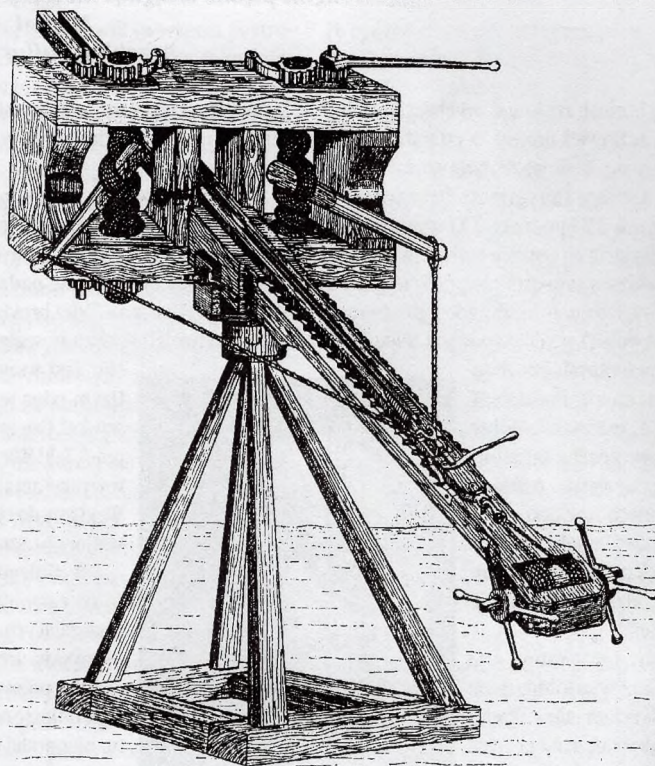
doświadczenia przeprowadził w latach 1904-1918 gen. E. Schramm.

O ile mi wiadomo, nigdy w Polsce tego rodzaju prac i rekonstrukcji nie prowadzono.

Muszę podziękować wszystkim osobom, które pomagały mi w wykonaniu balisty, ponieważ możliwości mojego warsztatu nie pozwalały na wykonanie wszystkich elementów.

Dziękując za rozmowę, życząc dalszych sukcesów w realizacji tak ambitnych i niesamowitych zamierzeń.

Barbara JAHNS



Porozmawiajmy o ... sztuce, czyli kącik jej amatora.

*„Duch mój skrzydła rozpostarł i w niebo pomyka,
Rzuciwszy świat pozorów pusty i kaleki,
Pragnie piękno osiągnąć niezmiennie przez wieki”*

*Michał Anioł Buonarroti
przekład Juliusza Starzyńskiego*

Rzymska sentencja głosi: ars longa, vita brevis, czyli – sztuka żyje wiecznie, a człowiek umiera. Wystarczające tłumaczenie? Domyslamy się, że słowa te mają sens dalszy.

Często słyszymy, że czas w którym przyszło nam żyć jest szalony. Mówi się, że wiek XX i początek XXI wieku są zbyt hałaśliwe natłokiem bzdurnych sensacji i szkodliwych wrażeń. Są i tacy, którzy widzą w tym ostatnie przyspieszenie z jakim pędzi świat ku zagładzie. Jesteśmy zdezorientowani. Rzeczywiście tak wiele wokół kalejdoskopowych zmian. Króluje bełkot i potok sprzecznych lub zbędnych informacji. Coraz częściej budzi się w nas lęk. Okropności i „mądrości”, dobre rady i niepomahowane groźby sąsiadują obok siebie i wylewają się na nas co dzień z powszechnie dostępnych nowoczesnych mediów – żeby nie mówić o odwiecznych środkach przekazu, jak mównice, ambony, a nawet wzajemne codzienne rozmowy. Uff... uciec, jak najdalej!

A więc próbujemy i uciekamy – na działkę, na imprezę z przyjaciółmi, może na ryby, czasem do kościoła, ale – trzeba wracać! Znowu natłok wrażeń, niejasnych wyborów, pusta paplanina, hałas od którego „bębenki pękają”.

Czy jest gdzieś magiczna furtka do **cichego ogrodu**, gdzie naprawdę odzyskamy równowagę, będzie czas na rozsądek i znajdziemy ukryty sens życia. Poczujemy tam to co jest istotne, a co można i trzeba pominąć? Czy odkryjemy cichy ogród – jedyne miejsce, gdzie spotyka się szczerłość szlachetnych uczuć i głębia myśli. Czy wreszcie dotkniemy „nagiej duszy” o której śnił Przybyszewski.

Paradoksalnie – katastroficzna opinia o naszych czasach pasuje do każdego innego. Zawsze przecież były wojny, okropności, ludzie lękali się o niejasną przyszłość, zmagałi się z chorobami, kataklizmami, starością, własnymi skłonnościami, trudnymi moralnie decyzjami i... tworzyli

sztukę. Przecież czasy, które starsi wspominają z sentymentem, jako sielskie takimi nie były. Były także zmienne, niepewne, burzliwe.

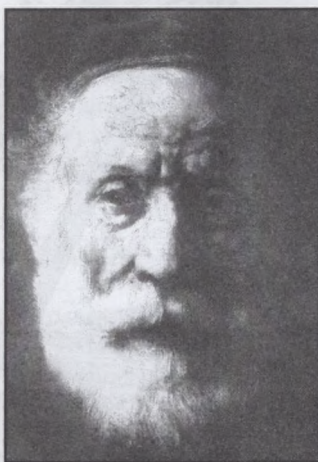
A latyńska zagadka = „ars longa”? A może jest tak, że sztuka dociera do tego co trwałe, autentycznie wartościowe i niezależne od czasów. Może łapie w niepojęty sposób prawdę, choć przewrotnie nadano jej nazwę sugerującą sztuczność. Być może „vita brevis” mówi, że życie – z natury i nieodwołalnie trwa w szaleńczym, chaotycznym ruchu. Jest wszystkim i niczym zarazem. Czym więc jest to coś, co nazywamy sztuką? Czy może nam się przydać, pomóc? Tak! Wierzmy w to głęboko my – wszyscy amatorzy. Otwórzmy furtkę! Wejdźmy do cichego ogrodu i porozmawiajmy o... sztuce.

W Holandii rodzącej się po dopiero co zakończonych, okrutnych i wyniszczających wojnach – żyje i tworzy niezwykle artysta.

Jest późny wieczór w 1654 roku. Słychać odległe odgłosy dochodzące z portu, nieopodal drobne światełka zapalają się właśnie w domach w leżącej o miedzę dzielnicy żydowskiej. Znajdujemy się w okazałej kamienicy przy Bre-

estraat w Amsterdamie, na drugim piętrze w bardzo osobliwym miejscu – w pracowni Rembrandta Harmenesza van Rijn. Na pięknie zdobionym krześle dla modela siedzi żydowski starzec malowany przez mistrza. Jak nazywał się model? Może Jeremiasz.

Biedna Saskia van Uylenburgh zmarła już dwanaście lat temu, a fotel jak większość wyposażenia, łącznie z budynkiem zakupiono w latach trzydziestych za jej posag – przynajmniej tak uważają szwagrowie malarza. Ileż się zmieniło od tamtych wspaniałych, dostatnich czasów. Teraz Rembrandt od 8 lat kocha i jest kochany przez piękną i dobrą Hendrickje Stoffels. Hendrickje jest w ciąży i nie-



bawem da mu upragnioną córkę Cornelie. Cóż? Świat nie zgadza się na ich czystą, prawdziwą miłość! Uczucie to już wkrótce sprawi, że Rembrandt straci sławę i zbankrutuje. Ale on jest wolny, jak tylko może być wolnym artysta i takim będzie do smutnego końca. Umrze samotnie, schorowany i zrujnowany, w skromnym mieszkaniu w dzielnicy Bozengracht. Odejdzie w zapomnieniu, pogardzie, bo przeciwstawiał się prawu ludzkiemu, a może i prawu boskiemu. Straci przedtem ukochanych: Saskię i czwórkę jej dzieci oraz Hendrickję matkę Cornelii.

Jakie myśli nawiedzają go w chwili tworzenia portretu starego Jeremiasza. Instynktownie czujemy, że malujący identyfikuje się z tworzoną postacią. Obraz (znajduje się obecnie w Saint-Petersburgu, w Ermitażu) jest kolejnym cudem van Rijna, poruszającą do głębi wizją. Vincent van Gogh – duchowy potomek, rodak Rembrandta powie: „te portrety to coś więcej niż natura to wygląda na objawienie”. Łagodnie skrzące się, ciepłe światło wydobywa z mroku twarz ludzką. Jest to twarz starca, poorana bruzdami, zmarszczkami, naznaczona głębokim cierpieniem – twarz Hioba doświadczonego ciężko pomysłem Stwórcy. Ma zamknięte, suche usta. Skóra jest wiotka, woskowa, jak u wielu starych ludzi. Twarz tchnie niezmiernym już spokojem. Portretowany wydaje się nie oddychać. Podniósł powieki i zmęczony patrzy mądrze i łagodnie. Jego oczy nie wyrażają buntu, gniewu, nie karzą, ale jednak zdają się krzyczeć. Spogląda na nas budząc szacunek swoją godnością i wyrozumiałością dla złego świata.

I nagle zdajemy sobie sprawę, że mistyczny blask wypływa, jak tajemna energia z **wnętrza** jego postaci. Ciemnoczerwony strój zdaje się żarzyć własnym światłem, a łagodna świetlistość migocze i przesuwają się w harmonijnym rytmie po białych, cienkich włosach, unosi się nad skórą spracowanych rąk i błędy nad powiekami, czołem i nosem.

Co się dzieje u licha! – przecież to tylko jeden z wielu niezdarłych, wiekowych ludzi, jakich spotykamy na drodze do kościoła, w szpitalnych salach, w domach społecznej pomocy, w zapomnianych i zaniedbanych mieszkaniach na osiedlach wielkich miast i w podupadłych wiejskich domach. Jeden z takich ludzi, których często mijamy nie zważając w ogóle na nasz bieg po codzienną dawkę konsumpcyjnych wartości. Niestety, któremu co najwyżej współczujemy ciesząc się, że przed nami jeszcze trochę czasu.

Rembrandt szokuje, kiedy odkrywa, że ten śmieszny, słaby staruszek to prawie „wcielenie boga” – przez swą doskonałość widzenia świata i jego spraw. Ta boska zdolność dana jest bowiem ludziom, gdy „docierają do portu”, kiedy mają za chwilę opuścić ułomne ziemskie życie. Malarz odnajduje herosa, cudownego bohatera tam, gdzie się nie spodziewaliśmy. Zdaje się mówić, że człowiek jest wielki dopiero w swojej bezlitosnej nagości, szczerości, słabości,

brzydocie – bez pudru, blichtru i pozłoty. Ważne rzeczy powstaną, gdy odrzucimy ten „upiększający” balast. Życie, które tak szybko mija nie powinno być marnowane przez poddawanie się przemijającym stadnym modom, bzdurnym nakazom. Żyć dobrze to pracować i twórczo, a kochać prawdziwie, ponosząc wszystkie tego konsekwencje. Byle nie grać, nie udawać – np. karykaturalnych „pięknych i bogatych ludzi” z pierwszych stron popularnych tygodników.

Prawda – jakież to bardzo współczesne przesłanie, które być może zawarte jest w portrecie starego Jeremiasza?

Rembrandt, nie jedyny z wielkich twórców, poświęcił swoje prace ludziom starym i złożył hołd starości. Podobną wymowę ma przepiękny z głębokim uczuciem rysowany przez Albrechta Dürera „Portret matki” z berlińskiego muzeum. Ten wizerunek syn malował z wielką czułością, jednocześnie jest on tak boleśnie dokładny jak medyczna obserwacja. Analogicznie bliską rembrandtowskiej – metafizyczną aurę objawienia posiada wzruszający obraz Georgesa de La Tour „Sen św. Józefa” z muzeum w Nantens. Artysta uchwycił moment, gdy Bóg poprzez swego anioła wybiera starego, skromnego Józefa na jednego z głównych wykonawców wielkiej misji zesłania Chrystusa na Ziemię. W jakże pogodnym, ale i wzniosłym nastroju mistrzowsko przedstawił portret staruszki patrzącej na żarzące się węgielki Peter Paul Rubens („Staruszka z garnkiem węgla” z Galerii w Dreźnie).

Sztuka nie daje dogmatycznych i prostych odpowiedzi, nie poucza ex cathedra. Ona mówi – spójrz – jak to zauważałam!, jak się wzruszyłam!, co o tym sądzicie? Tak to przynajmniej się ma z ars magna – tą najcenniejszą. Genialni twórcy, jakich spotykamy w **cichym ogrodzie** to ludzie bardzo nam bliscy: błądzący i szukający, wspaniali i budzący litość jednocześnie. Oni cierpią jak my i cieszą się dokładnie tym samym. Kochamy ich i czujemy z nimi porozumienie nie zważając na odległy wiek i odległe miejsca w jakich żyli.

Czas zatrzymany na zawsze – w rzeźbach, szkicach, obrazach, filmach, strofach poematów, toccatach i symfoniach znakomitych artystów to rzeczywista otucha i suchy ład na burzliwym oceanie naszej ludzkiej historii.

Tym artykułem chcemy otworzyć stałą, lokalną kącik śremskiego amatora sztuki, w którym moglibyśmy spotykać się z Państwem przy wielkich dziełach światowej kultury. Chcemy słuchać Państwa wrażeń, opinii, dyskutować i wyrażać nasze odczucia. Prosimy o listy, a w nich szczerze – niekoniecznie entuzjastyczne oceny znanych utworów. Podajcie Państwo propozycje tematyczne. Może nawet, jeśli tego zechcecie przysyłać do wykorzystania w publikacji, stworzone przez Was ... dzieła sztuki.

Ryszard ZAWADZKI

Zafascynowany drewnem

*„Człowiek potrzebuje odrobinę miejsca
i jeśli byłoby ono jeszcze tak małe
o którym może on powiedzieć popatrz, tutaj Kocham,
tutaj odpoczywam,
tutaj jest moja ojczyzna
tutaj jestem w domu.”*

Te piękne słowa wyryte na drewnianych belkach przeczytałam pewnego sobotniego popołudnia. Jechałam z przyjaciółmi na trasie Borek – Pogorzela. Zatrzymaliśmy się w miejscowości Siedmiorogów. Już z szosy widoczny jest dom, a na łące przed nim stoja drewniane rzeźby. Jest Święta Rodzina, Światowid, Janusz Korczak, rycerz, lew i wiele innych. Przywitał nas młody, sympatyczny człowiek zapraszając do zwiedzania. Okazało się, że jest to miejscowy artysta – rzeźbiarz, Cze-

śław Ptak, który swą twórczą energię „wkłada” w drewno.

- Od czego się zaczęło?

Cz.P. Początkowo miałem zainteresowania muzyczne, potem zacząłem interesować się rzeźbą. Rodzice byli temu przeciwni, często wyrzucali mi prace, żeby mnie zniechęcić. Na tamte czasy było to zajęcie mało dochodowe. Ale nie zrezygnowałem.

Skończyłem szkołę stolarską. Rzeźbię od 19 roku życia, właściwie to jestem samoukiem.

- Skąd pan czerpie pomysły swych rzeźb?

Cz.P. To natchnienie, potrzeba chwili, najchętniej robię to wieczorem, gdy jest spokój.

- Czy najpierw pan szkicuje przyszłą pracę, czy korzysta z modeli?

Cz.P. Nie, nie szkicuję, robię z pamięci. Jeśli chodzi o twarze ludzi to długo je pamiętam, najwyżej pod koniec dokonuję drobnych poprawek.

- W jakim materiale pan pracuje?

Cz.P. Najczęściej drewno – lipa, topola, dąb. Pamiętam rzeźbę Madonny z Dzieciątkiem, którą zrobiłem z czarnego dębu. Rzeźba ta jest obecnie we Francji. Pracuję też w kamieniu, gipsie i metalu.

- Czy ma pan wystawy swoich prac?

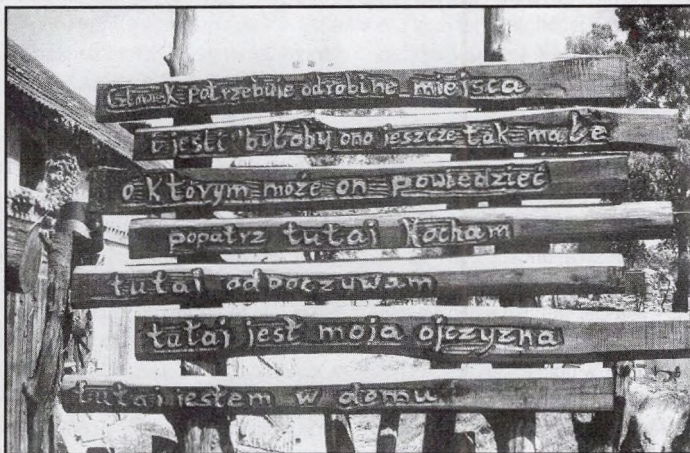
Cz.P. Pierwsza wystawa była w dworcu Edmunda Bojanowskiego w Grabonogu. Do dzisiaj stoi tam kilka moich rzeźb. Zachęcam by w powrotnej drodze pani się tam zatrzymała. Miałem też wystawę w Poznaniu, Grodzisku, Warszawie i innych miastach.

- A były wystawy zagraniczne?

Cz.P. Wystawiałem swe prace w Dreźnie, Frankfurt, Hanowerze, Holandii i Francji. Gdy mam zaproszenie na wystawę, zabieram znajomego malarza, łączymy swe prace i w ten sposób wystawa jest bardziej urozmaicona.

- Czy wykonuje też pan prace na zamówienie?

Cz.P. Tak. Kiedyś było zapotrzebowanie na sztukę sakralną, obecnie popularna stała się sztuka ogro-



dość np. różne zwierzęta, postacie mitologiczne. Zamożni ludzie zamawiają też swoje popiersia.

- To już chyba pachnie snobizmem.

Cz.P. Może i tak, ale to rzecz gustu i jak mam takie zamówienia, to je wykonuję.

- Na budynku, przed którym rozmawiamy, przeczytałam napis Galeria. Co to za galeria?

Cz.P. Założyłem ją 7 lat temu. Ekspozaty zdobywam jeżdżąc po Polsce i skupując je.

Wchodzimy po wąskich schodach na duże poddasze. Są tu skarby pana Czesława. Większość to dawne przedmioty, codziennego użytku. Są też stare rzeźby porcelana, różne popiersia.

- Który z tych przedmiotów jest panu szczególnie drogi?

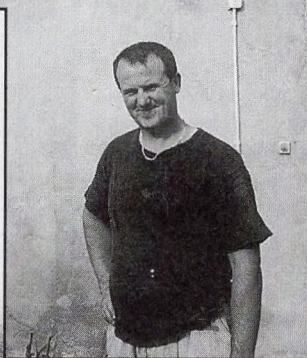
Cz.P. Wszystkie lubię, wszystkimi się cieszę.

- Co na to hobby pana żona?

Cz.P. Cóż, jest osobą bardzo tolerancyjną, bo jest nauczycielką. Traktuje mnie jak swoje trzecie dziecko.

- Chciałam jeszcze spytać o piękne motto, które przeczytałam przed wejściem.

Cz.P. To są moje złote myśli. Na wystawie w Warszawie



to motto razem z rzeźbą głowy młodej dziewczyny zajęło pierwsze miejsce.

Pan Czesław pokazuje nam album ze zdjęciami wszystkich swych prac. Jak mówi – musi sobie zostawić na pamiątkę chociaż zdjęcia, bo z każdą swoją pracą trudno mu się rozstać.

Siedzimy oglądając zdjęcia. Z sąsiedniego stawu dobiega głośny rechot żab, pachnie łąką. Jest cudownie. Ale musimy kończyć spotkanie ze sympatycznym rzeźbiarzem.

- Dziękuję panu za rozmowę i życzę wielu międzynarodowych wystaw.

Z Czesławem Ptakiem

rozmawiała Urszula CIESIELSKA



Kartka teatralna

Na teatralnej scenie kina „Slonko” w marcowy wieczór mieliśmy przyjemność gościć dwie znakomite aktorki, panie: Annę Seniuk i Zofię Saretok. Któż z nas nie zna Anny Seniuk, chociażby z takich ról jak JULIA z „Panien z Wilka” – A. Wajdy, HANDZIA w „Konopielce” – W. Leszczyńskiego, SZYMBARTOWA w „Szaleństwach Panny Ewy” – K. Tarnasa czy niezapomniana Magda w „Czterdziestolatku” – J. Gruzdy. Natomiast Zofia Saretok to głównie aktorka teatralna, ale zapamiętałem ją z roli matki w „Sztuce kochania” – J. Bromskiego. Jej wyważone gesty, sposób mówienia, czy też uczesanie przypominają momentami Wielką Ninę Andrycz.

Obie panie wystąpiły ze sztuką współczesnego francuskiego powieściopisarza Christiana Giudicellego, „PIERWSZA MŁODOŚĆ” w reżyserii Bogdana Augustyniaka (dyrektora Teatru na Woli im. T. Łomnickiego). Twórcami scenografii było małżeństwo: Xymena Zaniewska i Mariusz Chwedczuk. Nie można też pominąć wspaniałej muzyki Jana Zawierskiego.

Sztuka w 2 aktach mówiąca o kobietach jakże odmiennych. Jedna tryskająca radością i humorem, w którym pełno było życiowej prawdy, a także ukrywanej w tej radości niespełnionej miłości ze strony syna, topiąca często swe problemy w alkoholu, potrafiąca być wyzywająco prawdziwa. Natomiast jej towarzyszka spotkana gdzieś tam w lokalu jest osobą inteligentną, samotną i pełną kompleksów. Ma

ułożone życie i trudno jej się zmienić choćby na jotę. Jednak poznanie partnerki sprawia, że z konserwatywnej i zimnej kobiety, która nigdy nie zaznała ciepła rodzinnego, staje się zupełnie inną i z łatwością daje się wciągnąć w wir życia. To co było dla niej przez całe lata święte, teraz

idzie w odstawkę. Przagnie zakosztować życia, potrafi być wspaniałą partnerką. Obie panie stają się dla siebie przyjaciółkami, gotowymi pójść za sobą choćby i w ogień. Motto tej sztuki jest ciągle aktualne. Ilekroć to samotnych kobiet nigdy nie odnajdzie w sobie tej małej iskierki, która by pozwoliła wyzwoić w nich ogień mogący zmienić całe życie, a może one nie zna-

lazły na swej drodze właśnie pełnej życia drugiej osoby.

Obie panie dały wspaniały pokaz swego kunsztu aktorskiego. Była to kolejna perełka na śremskiej scenie okraszona znakomitymi nazwiskami, która na długo pozostanie w pamięci widzów.

Po spektaklu zgodnie z tradycją odbyło się spotkanie z aktorkami, na którym panie opowiadały o swoich zawodowych i prywatnych planach, przyjaźni i wspólnych podróżach. Życzę oby paniom w ich te-

atralnej wyprawie do Amsterdamu, ażeby towarzyszyła im wspaniała piosenka Jacquesa Brela o tym właśnie mieście. Na koniec obie aktorki pozdrowiły czytelników „Gazety”.

Zbigniew HOPPE





KINO SŁONKO ZAPRASZA w MAJU

Między piekłem a niebem

5-8.V. godz. 19.00

Dla Chrisa Nielsena (Robin Williams) miłość do żony Annie (Annabella Sciorra) jest bezgraniczna. Miłość tak potężna, że przekracza wszelkie granice, na ziemi i w niebie prowadzi Robina Williamsa do najbardziej nieprawdopodobnych, wizualnie olśniewających przygód, jakie były kiedykolwiek oglądane.

„Między piekłem a niebem” jest bardzo ambitną próbą pokazania życia pozagrobowego, będącego kombinacją fantazji, dramatu i przedstawienia. Jak powiedział Robin Williams – „jest niewiele filmów opowiadających o niebie i piekle. Mało wykorzystuje sztukę jako metaforę. Jestem zafascynowany pomysłem wykorzystania technologii komputerowej, aby pokazać coś innego niż wybuch lub dinozaura”.

GHOST DOG – DROGA SAMURAJA

12-15.V. godz. 19.00

Ghost Dog jest czarnoskórym zawodowym mordercą pracującym dla jednego z podrzędnych bossów włoskiej mafii. Pracuje zawsze w nocy, pojawia się bezszelestnie, jak duch (wszak nazywa się Ghost Dog) i bezbłędnie wykonuje swoje zadanie nie pozostawiając żadnych śladów...

Ta, jak zwykle u Jarmuscha, zagmatwana historia opowiedziana jest z dużym przymrużeniem oka i nie bez humoru. Zabawne sytuacje i komediowe gagi przeplatają się ze scenami perfekcyjnie zaplanowanych i dokonanych zabójstw godnych najbardziej klasycznych kryminałów.

DZIEWIĄTE WROTA

19-22.V. godz. 19.00

„Dziewiąte wrota”, ekranizacja bestsellerowej, wydanej także w Polsce powieści hiszpańskiego pisarza Arturo Perez-Reverte zatytułowanej „Klub Dumas” to szesnasty film w karierze Romana Polańskiego.

Johny Deep w roli eksperta od starodruków, któremu tajemniczy i bogaty klient zleca odnalezienie wszystkich zachowanych egzemplarzy beczennej średniowiecznej księgi. Ich skompletowanie ma mu umożliwić otwarcie wrot do świata podziemnego.

CYRULIK SYBERYJSKI

26-29.V. godz. 19.00

Rusja, lata 80. ubiegłego wieku. Przybywa tam amerykański inżynier, który próbuje zbudować ruchomą maszynę do wyci-

niania drzew. Towarzyszy mu piękna asystentka. W pociągu spotyka ona młodego elewa ze szkoły kadetów, rodzi się wielka miłość.

DKF KLAPS

9.V. godz. 19.00 – PROSTA HISTORIA –
prod. USA, reż. David Lynch

Stary farmer postanawia odwiedzić chorego brata, z którym nie rozmawiał od 10 lat. Wyrusza w podróż do miejscowości odległej o 300 mil. Jego środkiem lokomocji jest mały traktor z przyczepą.

23.V. godz. 19.00 – BEUNA VISTA SICIAL
CLUB - prod. USA, reż. Wim Wenders

Film dokumentalny poświęcony grupie wiekowych muzyków kubańskich, którzy przed wieloma laty grali ludową muzykę rytmiczną w hawańskim klubie. Kamera poszukuje lokalu, w którym odbywały się koncerty, pokazuje współczesne życie dawnych gwiazd, rejestruje wywiady. Momentem kulminacyjnym jest koncert weteranów w nowojorskim Carnegie Hall.

IMPREZY

IX Wielkopolski Przegląd Piosenki Religijnej „Śremsong 2000” odbędzie się w dniach 6, 7, 8, 18, 19 i 20 maja w sali Klubu Odlewnika w Śremie, a swój udział zgłosiło 2100 wykonawców. Tegoroczna edycja, ze względu na rok milenijny i 80. urodziny Papieża (któremu od początku dedykowany jest przegląd), ma charakter bardziej uroczysty. Dlatego zamiast koncertu galowego odbędzie się koncert dedykowany Papieżowi Janowi Pawłowi II w dniu Jego 80. urodzin (18 V o godz. 17⁰⁰), z udziałem laureatów poprzednich edycji ŚREMSONGU i Jerzego Zelnika (recytacja tekstów papieskich). Natomiast 19 maja odbędzie się Koncert Milenijny, który będzie miał charakter ekumeniczny (muzyka hebrajska, protestancka, gospel).

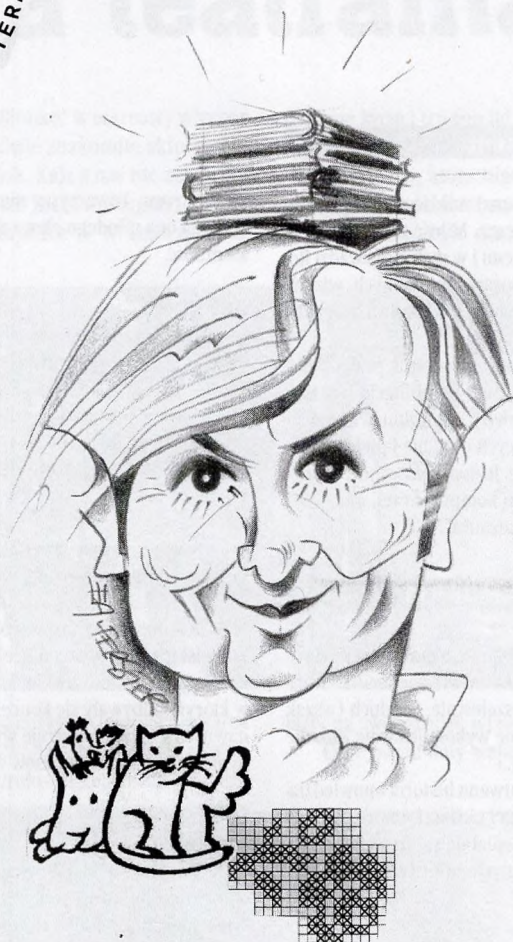
Serdecznie zapraszamy również do udziału w przesłuchaniach:

6 i 7 maja – szkoły podstawowe

8 maja – przedszkola

19 i 20 maja – gimnazja i szkoły ponadgimnazjalne.

KRESKA
EUGENIUSZA FERSTERA



Danuta Płygawko

GAZETA ŚREMSKA - siedziba redakcji - Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 061/28 35 938

Redagują: Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący).

Opracowanie graficzne: Robert CZAPRACKI. **Współpraca:** Eugeniusz FERSTER.

Wydawca: Zarząd Miejski w Śremie

Projekt okładki i zdjęcia: Mariusz DZIUBA.

Skład komputerowy, fotonaświetlanie: WIGO Pracownia Informatyczno-Graficzna, Śrem, tel./fax (061)28-30-216.

Druk: Firma EM Osiewicz Ewa, Śrem, tel. (061) 28-35-068.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzonych po oddaniu numeru do druku.

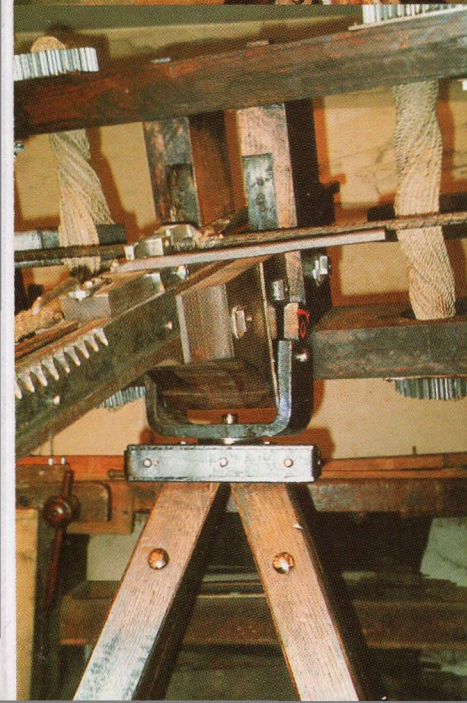
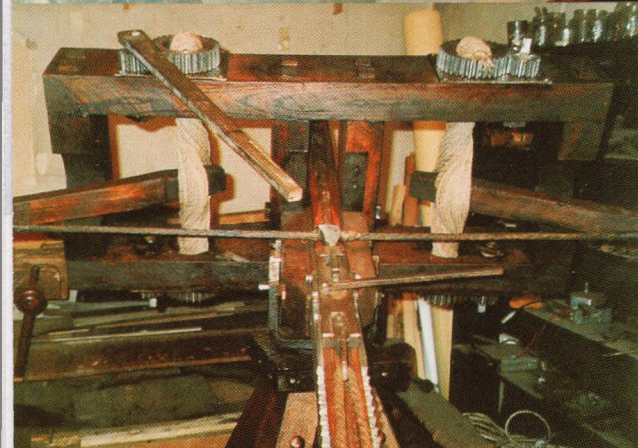
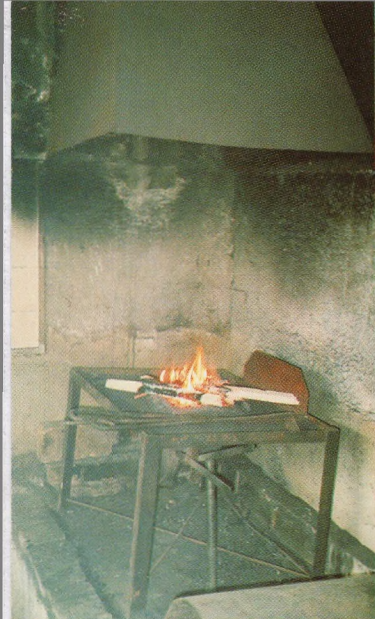
Pierwsza strona okładki - kusza Jerzego Jurgi ze zbiorów Muzeum Śremskiego



Park Miejski

*gniazda w gałęziach
jeszcze śpią swoim snem
gdy słońce razem
śpieszy się za swoim dniem*

Richard Sobotka



W pracowni...